

LITERACKIE NADWISŁOCZE

kwartalnik-rocznik literacko-artystyczno-kulturalny

ISSN 17-31-5697 nr 48/2020 bezpłatne wydanie internetowe: www.promocja.mielec.pl <https://www.facebook.com/nadwislocze/>

WYDANIE Z OKAZJI 100. ROCZNICY UTWORZENIA ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

PATRONAT
HONOROWY



Związek Literatów Polskich
Oddział w Rzeszowie

PATRONAT MEDIALNY:

Więści Regionalne

promocja.mielec.pl



1

Związek Literatów Polskich
Oddział w Rzeszowie

PODKARPACKIE
Rzeszów



ZLP na III Świątecznych Targach Książki w Rzeszowie 22-23 listopada 2019 r.

LITERACKIE NADWISŁOCZE

Spis treści:

Wydarzenia literackie

str. 4 - Literackie „Nadwisłocze” zaprasza twórców słowa i obrazu.

str. 5 - Włodzimierz Gąsiewski, *Literaci z Mielca i nie tylko na III Świątecznych Targach Książki w Rzeszowie*.

Recenzje i omówienia

str. 6-7 - Mirosław Głowala, *Mirosław Osowski, Notatnik liryczny – omówienie*.

str. 8 - dr hab. Paweł Soroka, *Stefan M. Żarów, Podkarpackie Ślady Pegaza*.

str. 9-10 - dr Jan Wolski, *Rozkoszując się wielopostaciowością* (Stefan M. Żarów, *Na skraju podróży*).

Poezja

str. 11 - Krzysztof Kwasizur

str. 12-13 - Jolanta Michna, *Wiersze*.

str. 13-15 - Teresa Paryna, *Kiedy przekwitną czarne kwiaty*.

str. 16 - Ryszard Mścisz, *Korona - poezja*.

str. 17-19 - Beata Hil-Dobrzeńska (Bodych)

Bieszczadzkie Literackie Nadwisłocze - proza

str. 20-57 - Jadwiga Buczak, *W Cieniu Łopienki*.

LITERACKIE NADWISŁOCZE

kwartalnik-rocznik literacko-artystyczno-kulturalny

ISSN 17-31-5697 nr 48/2020 bezpłatne wydanie internetowe: www.promocja.mielec.pl <https://www.facebook.com/nadwislocze/>

WYDANIE Z OKAZJI 100. ROCZNICY UTWORZENIA ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

PATRONAT
HONOROWY



Związek Literatów Polskich
Oddział w Rzeszowie

PATRONAT MEDIALNY:

Więści Regionalne

promocja.mielec.pl

Redakcja

Włodzimierz Gąsiewski

Współpraca redakcyjna:

Krystyna Gargas-Gąsiewska

Ryszard Mścisz

Mielec 2020

Literackie „Nadwisłocze” zaprasza twórców słowa i obrazu

Szanowni Państwo. W 2020 r. przypada 100. rocznica Związku Literatów Polskich. Narasta też lokalna i regionalna twórczość literacka. Ukazuje się wiele nowych książek poezji i prozy. Odbывают się liczne spotkania promocyjne i autorskie, którym zwykle towarzyszą koncerty artystyczne, wystawy malarstwa, fotografii itp. W związku z tym Redakcja ukazującego się od 2003 r. czasopisma „Nadwisłocze” nadal formalnie zarejestrowanego jako tytuł prasowy, postanawia wznowić jego edycję. Jedną z przyczyn jest też pandemia koronowirusa i ograniczenia z tym związane, które jeszcze jakiś czas będą mieć wpływ także na realne życie literackie i artystyczne. „Nadwisłocze” powraca do swojej sprawdzonej roli promocji literackiej i innych form twórczości artystycznej. Będzie się to odbywać kilkutorowo. Na bieżąco, poprzez zakładkę na stronie www.promocja.mielec.pl oraz na dedykowanej stronie Facebooka <https://www.facebook.com/nadwislocze/> będą się ukazywać przesyłane przez autorów utwory poetyckie i prozy, recenzje, omówienia, eseje, relacje ze spotkań itp., które mogą być ilustrowane grafikami, obrazami, fotografiami bądź innymi formami graficznymi. Równoległe będzie się odbywał profesjonalny skład komputerowy i pod koniec 2020 lub na początku 2021 r. ukaże się w pełni zredagowana elektroniczna wersja pdf Literackiego „Nadwisłocza”, która zostanie również zamieszczona w Internecie. Wszystkie te formy publikacji będą miały charakter wzajemnie niekomercyjny i bezpłatny dla odbiorców. Przesłanie utworu lub grafik/zdjęć będzie oznaczać zgodę na ich nieodpłatną publikację. Redakcja „Nadwisłocza” poprzez liczny udział w grupach społecznościowych zapewni bezpłatne udostępnianie nadsyłanych utworów, jak też wersji pdf czasopisma licząc na możliwą kilku, a może nawet i kilkunastotysięczną lub większą rzeszę odbiorców. Będzie także istniała możliwość zamówienia/subskrypcji limitowanej drukowanej wersji Literackiego „Nadwisłocza” według kosztów druku, które będą wynikać z objętości oraz formy (kolor lub wersja czarno-biała) oraz kosztów wysyłki. Ponadto Redakcja

wystąpi o prestiżowe patronaty honorowe, które podniosą rangę wydawnictwa.

Szanowni Państwo! Od 18 lat jestem członkiem Związku Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie. Osiągnąłem więc dojrzałość w tym szacownym stowarzyszeniu twórczym. Za swoją twórczość poetycką i wydawniczą dwukrotnie zostałem uhonorowany nagrodą „Złotego Pióra” ZLP O/Rzeszów. Na łamach „Nadwisłocza” przewinęło się kilkudziesięciu literatów, a niektórzy w nim nawet debiutowali. W związku z tym gwarantuję rzetelność i fachowość redakcyjną, zwłaszcza że chętni literaci oraz Patroni zostaną zaproszeni do współpracy redakcyjnej i będą mieć wpływ na poziom artystyczny czasopisma.

Pozdrawiam i zapraszam do przesyłania utworów

Dr Włodzimierz Gąsiewski

Redaktor Naczelny „Nadwisłocza”

Kontakt: gasiewski@interia.eu lub poprzez FB: <https://www.facebook.com/gasiewski.wlodek>

Proszę ewentualnie o nadsyłanie utworów nie publikowanych z podaniem ich czasu i miejsca powstania. Przy utworach publikowanych, jeśli waszym zdaniem zasługują na dalsze propagowanie, proszę podawać w jakim wydawnictwie/czasopiśmie i kiedy zostały wydrukowane. Proszę nie wysyłać wydanych książek, a tylko skany/zdjęcia ich okładek, ilustracji oraz wybranych kilku wierszy lub fragmenty prozy, w formie elektronicznej w programie Word. Można przysyłać relacje i zdjęcia ze spotkań autorskich (nie wysyłać linków do informacji o nich). Można również załączać recenzje swoich utworów podając ich autorów, a jeśli były już publikowane podawać wydawnictwo i miejsce wydania. Wraz z utworami proszę przysyłać biogramy twórcze wraz ze zdjęciem oraz linkami do stron ze swoją twórczością.

Literaci z Mielca i nie tylko na III Świątecznych Targach Książki w Rzeszowie

W dniach 22-23 listopada 2019 r. w Centrum Kulturalno-Wystawienniczym Millenium Hall w Rzeszowie odbywały się III Świąteczne Targi Książki, na których oprócz wielu innych wystawców/wydawców stoisko miał także Związek Literatów Polskich O/Rzeszów. Podczas dwóch dni targów swoje książki zaprezentowało i z powodzeniem sprzedawało kilkudziesięciu literatów podkarpackich. Z Mielca byli to: Włodzimierz Gąsiewski z małżonką Krystyną Gargas-Gąsiewską m.in. z ich wspólną debiutancką książką „Bieszczadzkie szlaki ikon Droga do Łopienki” oraz Zbigniew Michalski, Andrzej Talarek i Stefan Żarów. Byli także inni literaci. m.in.: Edward Bolec, Celina Depa, Anatol Diaczyński, Agata Linek, Mieczysław Arkadiusz Łyp, Ryszard Mścisz i inni. Duszą literackiego stoiska była Małgorzata Żurecka – wiceprezes Zarządu Oddziału, która przez dwa dni nie tylko organizacyjnie czuwała nad prezentacją książek, to jeszcze zachęcała zwiedzających do przeglądania wystawionych publikacji i ich zakupu.

Oczywiście na targach było wiele innych wydawnictw oraz ciekawych spotkań autorskich. Rzeszowskie targi należy zaliczyć do bardzo pożytecznych i udanych imprez kulturalnych. ZLP wziął w nich udział pierwszy raz i to z dużym powodzeniem. Warto więc kontynuować takie przedsięwzięcia, a być może organizować je także w innych miastach Podkarpacia.

Włodzimierz Gąsiewski

Galeria zdjęć: <http://promocja.mielec.pl/literaci-z-mielca-i-nie-tylko-na-iii-swiatecznych-targach-ksiazki-w-rzeszowie/>



Miroslaw Osowski, *Notatnik liryczny* – omówienie

Metaformozy

Są osoby, którzy swoją przygodę literacką zaczynają od pisania wierszy, ale z czasem świadomie wybierają twórczość prozatorską, czując się w niej o wiele lepiej niż w poezji. Do nich zapewne należy także Miroslaw Osowski, autor powieści i opowiadań. Wydany niedawno tomik poetycki co prawda nie jest jedynym w jego dorobku twórczym. Z zamieszczonego z tyłu na okładce niedawno wydanego „notatnika lirycznego” możemy się dowiedzieć, że ma za sobą także 2 inne tomiki zatytułowane „Jesień” i oznaczone liczbą 1 i 2, wydane rok po roku w latach 2008-9. Oba tomiki obrazują „stan duszy” w jesieni życia, gdy człowiek powoli zbliża się do swego kresu i nie ma już złudzeń, jaka czeka go przyszłość. Dzieli się więc swoimi refleksjami nad życiem z innymi. Dlatego „notatnik liryczny” jest w jakimś sensie nawiązaniem i kontynuacją „Jesieni”, nazywanej niekiedy „późną jesienią”.

Osowski ma coraz większą świadomość, że jego życie powoli dobiega kresu i że „trzeba be wszystkim się rozstać”, i że wszystkiego rozliczyć, zarówno z ludźmi, jak i ulubionymi przedmiotami czy miejscami, a nawet z tym, co się nagromadziło za życia. Podchodzi do tego „wyroku historii” całkiem spokojnie. Już nie wadzi się z Bogiem jak dawniej, gdy był „poszukiwaczem prawdy”, kontestatorem, „rewolucjonistą”, chcącym naprawić świat bez Boga. Obecnie nadszedł czas rozliczenia, refleksji nad przeszłością. Dawną postawę prometejską, buntowniczą, zastępuje postawa franciszkańska, pokory i pogodzenia się ze światem. Autor „notatnika lirycznego” zapewnia, że ze swego życiorysu nie wymaże niczego, nie upiększy i nie wyprze swoich błędów. Byłoby to nieuczciwe. Na usprawiedliwienie ma tylko jedno, że taka jest zawsze młodość: pełna szaleństwa, zmagania się z sobą i światem. Pierwszy rozdział zatytułowany „portrety ze skazą” to refleksja nad życiem wielu wybitnych polskich poetów i pisarzy, pokazaniem ich skomplikowanego i niełatwego curriculum vitae. Bo przecież Osowski jako polonista uczył literatury w szkole i zżył się z tymi postaciami. Były mu one bliskie i towarzyszyły od młodości aż po „późną jesień”, nawet wtedy gdy już nie uczył w szkole, a zajął się, będąc na emeryturze,

dziennikarstwem i twórczością literacką. Musiał ciągle jednak do nich wracać, być z nimi na bieżąco, jak z lasem czy parkiem, gdzie chodził na swoje długie „filozoficzne” spacery. Zapewne w młodości był nimi zafascynowany, urzeczony dorobkiem i talentem, być może byli nawet dla niego wzorami, wskazaniem drogi, którą należy iść. Ale z czasem, gdy coraz bardziej zagłębiał się w literaturę, poznając przy okazji biografie tych, którzy weszli do podręczników, zapewne zrozumiał, że twórczość, nawet ta literacka, tak mu bliska, nikogo nie czyni świętym. Pisarze, poeci, to ułomny lud, taki sam jak wszyscy, z tymi samymi zaletami i wadami. Jest to swoistym przyznaniem się do własnej niedoskonałości i błędów, jakby jednocześnie autor tłumaczył się sam: spójrzcie, oni, ci wielcy też mieli „skazy”, czy mogłem być inny? Kolejny rozdział „dulce et decorum est...” poświęcony refleksjom nad ojczystymi dziejami, rozważaniom nad naszym polskim rodowodem, określeniem własnej tożsamości.

Osowski szuka w nich odpowiedzi na pytanie: kim jesteśmy jako społeczeństwo i naród? I co nas odróżnia od innych? Dlaczego nasze dzieje są tak tragiczne? Czy nie ukształtowały one naszej osobowości? W „myślach przewrotnych” snuje refleksje natury ogólniejszej, filozoficzno-moralnej, zastanawia się nad racją i sensem naszego bytu, nad przemianami życia i wartościami moralnymi, które są ponad historią. Kulminacją tego jest część zatytułowana „memento”, inspirowana śmiercią osób bliskich, między innymi swego przyjaciela. Są w tych wierszach gorzkie refleksje na temat sensu życia i przemijania. Śmierć nie zawsze jest uwięzieniem tego, co się już spełniło czy dokonało. Bywa niekiedy tragiczna, niespodziewana, zbyt wczesna, jak w „lamencie matki”. Kolejny rozdział „pomiędzy mną i bogiem” jest świadectwem zmagania, jakie towarzyszyły poecie, szukania odpowiedzi na pytania egzystencjalne. Są to refleksje a posteriori, jakby wysnute z życia. Z tych zmagania wychodzi poeta obronną ręką, z pokorą przyznaje się do swoich porażek i klęsk. Z pokorą jednak wyznaje, że odnajduje wreszcie po latach sens życia, normalnego, prostego, szarego, wśród zwykłych ludzi. A najważniejsza, najcenniejsza rzecz, jaka mu została to wewnętrzna wolność. Życie skromne, z daleka od tłumy, splendoru, zapewniające wewnętrzny spokój. Część końcowa tomiku zatytułowana „wspomnienia” jest powrotem do sielskich czasów dzieciństwa spędzonego na wsi, tradycyjnej, typowo polskiej, gdzie kalendarz wyznacza przyroda i liturgia

kościelna. Tam odnajduje tę upragnioną prostotę, wyciszenie, ukojenie po latach buntu, zmagania i walki. Wie dziś jako człowiek dojrzały i doświadczony, że zmiany ustrojowe, filozofie nie zmieniają natury człowieka. Zawsze po czasie jest tak, jak było. A dawni „bohaterowie”, niegdyś wynoszeni pod niebiosa, odchodzą do lamusa albo są brutalnie wyrzucani na śmietnik historii. Potwierdzają to zresztą współczesne media. Zamyka tomik skromne „wyznanie”, swoiste credo na temat sztuki poetyckiej. Jest to nie tyle program, jak pisać, co hołd złożony ars poetica, literaturze, sztuce pisania, co było sensem i celem jego życia.

Tytuł tomik „notatnik liryczny” świadczy, że poezja w twórczości Osowskiego pojawia się doraźnie, w formie wierszowanych zapisków, refleksji i uwag. I zapewne nie stanowi zasadniczego trzonu jego twórczości, ale uzupełnia jego całkiem już okazały dorobek literacki, napisany prozą, zawarty w powieściach i opowiadaniach oraz wspomnieniach. Jest jakby nową, dodatkową jego odsłoną.

Mirosław Głowala

Mirosław Osowski „Notatnik liryczny”, Stalowa Wola 2020. Książka ma stron 125, projekt okładki wykonała Edyta Lisek.

Mirosław Osowski biogram: <https://zlp.rzeszow.pl/osowski.htm>



Mirosław Osowski, ur. W 1942 r. w Grabowie k. Łęczycy, jest autorem utworów prozatorskich: powieści „Tomasz”, „Dami z karli” zbioru opowiadań „Tamte lata”, „Świniobicie”, wydanych w latach 2002-2005. W roku 2006 wydał także powieść autobiograficzną „Powołanie”, a w 2007 – „Z nieba do piekła”, zaś w 2010 „Szychtę i inne opowiadania” – osnute na fcie pracy w kopalni. W wydał także 2 tomiki poezji – „Jesień” i „Jesień 2”. W 2012 r. wydał książkę wspomnieniową „W krainie dzieciństwa”, a w 2013 r. – „Uniwersyteckie lata”. W latach 2014-17 wydał zaś 4 części „Sagi rodu Oryszów” (Powroty, Zawiedziona miłość, Człowieczy los, Światło w mroku), opisującej dżęje wielopokoleniowej chłopskiej rodziny, zamieszkującej na ziemi łęczycyckiej. W roku 2017 wydał także powieść satyryczną „Nowe czasy” i „Siłwę”. W 2018 r. wydał „W bliskim kręgu” – zbiór recenzji i biogramów pisarzy, i poetów związanych z naszym regionem, a w 2019 – zbiór opowiadań „Wilki morskie na lądzie”.

ISBN 978-83-943668-7-2



Mirosław Osowski
NOTATNIK LIRYCZNY

Mirosław Osowski



NOTATNIK
LIRYCZNY

Stefan M. Żarów, *Podkarpackie Ślady Pegaza*

Podkarpackie Ślady Pegaza, to nowa pozycja wydawnicza na podkarpackim rynku wydawniczym. Książka ukazała się pod patronatem Związku Literatów Polskich O/ Rzeszów. Autorem i pomysłodawcą tej interesującej publikacji jest Stefan M. Żarów, były długoletni wiceprezes Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie.

W słowie wstępnym skierowanym do czytelnika pisze: „Podkarpacie poprzez swoje uwarunkowania historyczne stanowi magiczne miejsce. Składają się na to różne czynniki, a o jego specyfice decydują w dużej mierze wielopokoleniowe rodziny zamieszkujące jego tereny. Ich obecność sprzyja podtrzymaniu tradycji kulturowej, co ma istotny wpływ na powstającą tu literaturę”. W niniejszej pracy Autor przedstawia własne odniesienia z zakresu poezji, prezentując twórców działających w grupach literackich, oraz wybrane dynamicznie funkcjonujące środowiska literackie i stowarzyszenia o charakterze kulturotwórczym. Ma również nadzieję, że przedstawione zagadnienia znajdą kontynuację w kolejnych wydaniach. Książka ta jest jego autorskim projektem, a podzielona została na trzy części: Eseje, Krytyka i omówienia oraz Z kart historii. Podział ten wynika z przedstawianego zakresu pracy i wiąże się z próbą klarownego usystematyzowania jej treści. Przyświecały mu dwa cele: zapoznać czytelnika z tematyką literacką, zwracając szczególną uwagę na twórczość poetycką z jej specyfiką oraz zarazem przybliżyć podkarpackie środowisko kulturowe.

Część I. Eseje.

Ta część książki składa się z trzech esejów tj. Kategorie tworzenia, Pamięć, nieistnienie i konieczność rekonstrukcji oraz

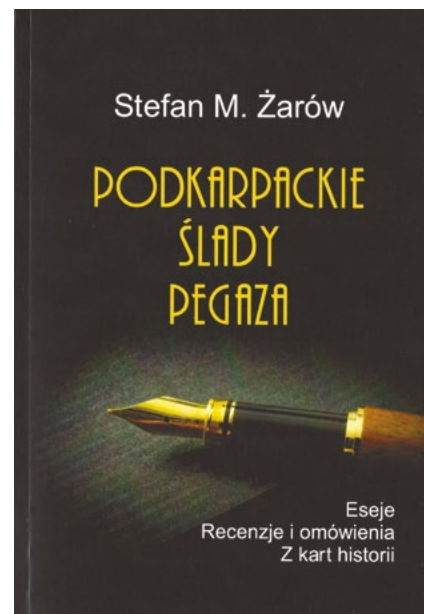
Poeta i jego poezja. Są one przedstawieniem odniesienia Stefana M. Żarowa do roli poezji, a zarazem stosunku twórcy do powstającego utworu. Zwraca uwagę na odpowiedzialność poety wynikającą ze słowa zawartego w wierszu, a w szczególności na siłę oddziaływania Słowa na czytelnika.

Część II. Krytyka i omówienia

Zawiera próbę analitycznego podejścia do szesnastu wybranych autorów i tytułów ich książek, które ukazały się drukiem w ostatnich latach na terenie Podkarpacia. Należą do nich znani i utytułowani twórcy, jak również adepci pióra, którzy mają w swoim dorobku zdobyte nagrody i wyróżnienia w ogólnopolskich konkursach literackich: Janina Ataman, śp. Marian Berkowicz, Stanisława Bylica, Adam Decowski, śp. Józef Kawałek, Joanna Kłaczyńska, Ewelina Łopuszańska, Jolanta Michna, Edyta Pietrasz, Aleksandra Piguła, Marek Petrykowski, Jolanta Szal-Mach, Michał Warzocha, Bogusław Kotula, Jerzy Stefan Nawrocki i Maria Rudnicka.

Część III. Z kart historii

W artykule pt. Zastanawia mnie ta droga Autor przedstawia patrona Podkarpackiej Izby Poetów, jakim był Stanisław Harla. W Izbie w jej ponad dwudziestoletniej działalności prezentowało się ponad stu twórców z terenu Podkarpacia. Charakterystyczne jest to, że Izba rozpoczęła swoją działalność od wspomnienia twórczości nieżyjącego już wówczas Stanisława Harli z ziemi mieleckiej i zakończyła ją na spotkaniu innego jej przedstawiciela, poety Zbigniewa Michalskiego. Kontynuacją Izby ale już w zmienionej formule jest Podkarpacki Salon Literacki, autorski pomysł Marka Jastrzębskiego dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie. Mielecki Klub Młodych Pisarzy to przed-



stawienie fenomenu kulturowego, jakim była jego działalność w latach osiemdziesiątych minionego wieku, a z którego to wywodzi się kilku twórców do dzisiaj uprawiających działalność literacką.

Kolejny artykuł to Mielczanie w Podkarpackiej Izbie Poetów, co jest odzwierciedleniem dynamicznego środowiska literackiego tego miasta. Na zakończenie przedstawiono wspomnienie ze Światowego Dnia Poezji w Rzeszowie, zainicjowanego i od wielu lat organizowanego przez Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury.

dr hab. Paweł Soroka

Stefan M. Żarów. Podkarpackie Ślady Pegaza. Oddział ZLP Rzeszów 2019 r. Recenzja z Własnym Głosem, Pismo Społeczno- Kulturalne Nr 4/2019/109.

Stefan Żarów biogram:
<https://zlp.rzeszow.pl/zarow.htm>

dr Jan Wolski

Rozkoszując się wielopostaciowością

Stefan Żarów to poeta, który w interesujący sposób nawiązuje do tradycji literackiej, nie tracąc przy tym swego podmiotowego stylu i współczesnej jak najbardziej formy wyrazu.

Słowo jego wierszy, oczywistego przecież materiału poety, jest słowem wyciszonym emocjonalnie, pozornie tylko precyzyjnie chłodnym w swym wyrazie. Sądzę, że to nie tyle podpieranie się tradycją, co rodzaj podsłownie demonstrowanej albo lepiej: wyrażanej wiary, że są w życiu rzeczy i stany trwałe, niezmiennie, piękne, a przez to po prostu do życia tegoż niezbędne – tyleż osobistego, co w równej mierze społecznego.

Nie jest to poezja, która wdziera się do świadomości odbiorcy, lecz uwagę jego i przychyłność zdobywa, ujmując go swą delikatną zadumą, obficie dopełnianą pewnego rodzaju nostalgią. Ale i w tym nastroju dominuje swoisty hymn pochwalny na cześć życia. Mimo jego ograniczeń i nieodwracalnego, bezpowrotnego przepływania.

Poeta bazuje na własnych doznaniach i doświadczeniach, ale w ten sposób poddaje nas próbie wrażliwości, czy potrafimy dostrzec to, co jest naszym wspólnym, ludzkim przeżyciem i poznaniem.

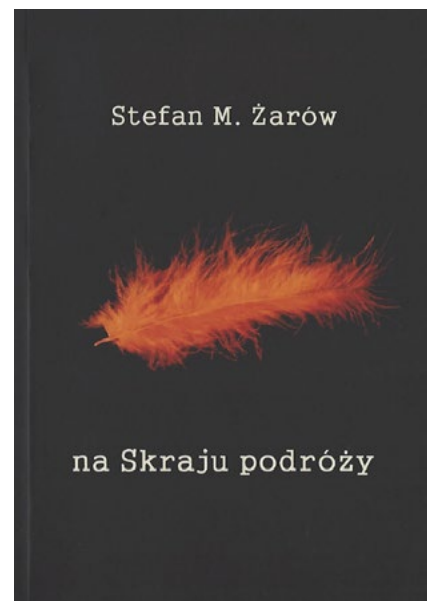
Wydaje się, że podstawową kategorią rozpoznawalną w tomie *na Skraju podróży* jest pamięć. Można powiedzieć, że ustala niejako ścieżkę lektury, podpowiada, że zadaniem poety jest wędrówka do przeszłości i pamiętanie o prywatnej mitologii. Nieprzypadkowo, w nietypowym miejscu, bo na stronie przedtytułowej zamieszczony został fragment eseju poety poświęconemu właśnie pamięci. Widzieć

więc w tym należy świadomą wskazówkę. Skoro tak, to zdefiniowany został sposób postrzegania świata przez poetę, jak i ścieżka lektury dla czytelnika. Takie, pod pewnymi względami, programowe działanie uzasadnia pojawienie się w tomie licznych wiersz autotematycznych, mówiące o tym, jak lub co należy opisywać. Sztuka poetycka kieruje się prostą dyrektywą: *Dotknij ulotnych śladów*. Poeta zdaje też relację z procesu twórczego, wie, że: *Kilka wierszy pisze się chwilę / Jeden całymi latami*. Uważa, że *Poeta notariusz znaczeń*, ma właśnie takie zadanie i *Pozostaje notariuszem / Odmierzającym czas / nakreślającym nowe kręgi znaczeń*. O świetnym wyczuciu swoich możliwości poetyckich, ale raz jeszcze świadomości ograniczeń, a zarazem potencjału poetyckiej wypowiedzi, świadczy liryk *Jest taki wiersz*. Ten najważniejszy, jeszcze nie zmaterializowany wciąż czeka na swój czas: *Wiem / Że jest we mnie / taki nienapisany wiersz*. Ale jeszcze ciekawsze jest dookreślenie jego kształtu, a mianowicie ma to być

*Wiersz minimum słów
Przy maksimum obrazów*

*Wiersz
Milczenia*

Często bywa tak, i jest to nie tylko cecha omawianego tomu, ale generalny parametr stylu Stefana Żarowa, że poszczególne kręgi tematyczne, łączą się i uzupełniają w obszarze jednego, tego samego utworu, jak choćby w wierszu *Retrospekcja*, gdzie można dostrzec i egzystencjalny niepokój, i wskazanie już choćby poprzez sam tytuł pamięci jako źródła poznania, i kolejny raz



określenie zadania poety, który musi poza daniem świadectwa swoim czasom, być w stanie *ponieść pamięć tych co przede mną*, a kiedy temu podoba, *Przemówić językiem ich milczenia*.

Innym, bardzo ważnym i wręcz narzucającym się uwadze czytelnika obszarem doznań, skojarzeń, odniesień poety jest Łazurowe Wybrzeże. Zaskakujące jest to przywiązanie do dawnej Galii Zaalpejskiej, do prowansalskich krajobrazów. Zdradzają je, bez interpretacyjnego wysiłku, same tytuły wierszy, na przykład: *W cieniu lawendowych pól*, *Route Napoleon* czy *Nocna burza od Alp*. W naszym codziennym bytowaniu istotne znaczenia mają miejsca geograficzne. Poeta przywiązanie do nich manifestuje w niejednym wierszu tego tomu. Znaczące jest dla przykładu choćby to, że każda strofę wiersza *W cieniu lawendowych pól*, rozpoczyna wers: są miejsca urokliwe. Brzmi to jak mantra

i zarazem stanowi bardzo silne wyznaczenie miłości do nich, jak w wiersz *Tęskna rzeka*, w którym znajdujemy zwierzenie poety: *moje miejsce przypisane do wąwozu Verdon*. W *Powrotach mojego miasta* ponownie sięga myślą i przypomina *Miasto powrotów i wyciszenia / Nad wodami Verdon*. Pojawia się plaża w Nicei, opactwo Sénanque pod Gordes, górskie zbocza Vercors, droga do Russillon, rzeka Durance, dopływ Rodanu, obszar od Rougon aż do Moustiers-Sainte-Marie, itd. Obszar geograficzny zostaje trwale naznaczony, a ściślej został już kiedyś w przeszłości, być może wielokrotnie, ale teraz wciąż na nowo odżywa w pamięci, przypomina swe istnienie, którego zapomnieć nie można. Można by sądzić, że jest to jakaś mityczna kraina, obszar ucieczki, w której poeta może się schronić, gdzie jest szczęśliwy i bezpieczny. I zapewne tak jest, ale to nie jedyne takie miejsce, bo oto trafiamy na równie intensywne emocjonalnie deklaracje związków z innym miastem, z Rzeszowem. To *Miasto które we mnie / Witam z każdym przebudzeniem*, gdzie wciąż powraca, gdzie czuje się w domu, bo jest miejscem codziennych wędrówek, wspomnień, bo poeta wrósł w nie, może z nim rozmawiać, bo ono pozwala mu żyć i jest świadkiem powstawania jego wierszy, bo jak wyznaje: *Oddycham tym miastem*. Takie personifikowanie to aż nazbyt czytelny dowód przywiązania. Jedną z jego ulic ma moc wyjątkową, bo jest *Codziennym traktem przemyśleń*, a spacer po niej sprzyja spisywaniu ulotnych śladów zdarzeń, choć równie dobrze można gdzieś w jej ciągu *Przysiąść i pomilczeć*.

W tytułach kilku wierszy tego tomu, i w nich samych, pojawia się tajemnicza postać „Inez”. To postać emblematyczna, rodzaj interlokutorki, albo raczej rodzaj jeszcze innego, może

bardziej wewnętrznego głosu poety. Zazwyczaj pojawiające się w jej kontekście tematy mają wymiar, można powiedzieć, estetyczny, dotyczące ulotnej istoty sztuki, szczególnie plastyki, *igraszki barw*, ale także literatury i poezji. Kim jest Inez, to sekret, który pozostanie chyba nierozwiązany, ale warto zwrócić uwagę na takie właśnie jej usytuowanie i rolę. I ponownie można skojarzenia z nią związane odnosić do problemu pamięci, wspomnienia, ulotności ludzkich myśli i uczuć, zmysłów, zapachów, tajemnicy istnienia, przesłanek i dyrektyw służących tworzeniu, bez względu na dziedzinę sztuki.

I jeszcze jedna warstwa tego tomu, bo taki kształt nadał mu poeta, złożona z wierszy, które nazwać można wierszami-napomnieniami, które nierzadko mają ponadto charakter prorocत्व. Dotyczą one fundamentalnych doświadczeń człowieka i niekiedy miewają charakter religijny. Są to utwory takie jak: *Przedśpiew*, *Cupiditas*, *To moje życie*, czy choćby *Aeternitas*, z którego pochodzi pytanie: *Kim jestem?* I właśnie pytania są w tych wierszach najważniejsze. Ciekawsze, gdy nie znajdują łatwych lub w ogóle jakichkolwiek odpowiedzi, dając tym samym czytelnikowi większe pole do własnych przemyśleń. Bywa, że przynoszą one wyraźne deklaracje i rozstrzygnięcia, czego przykładem wiersz *Ze słów i liczb wyrosłem*. To właśnie ta konstatacja zda się być, jak chce poeta, *kluczem mojego być*.

Tom zamyka znamienity wiersz, opatrzone tytułem *Experiri audire*, bo w nim zda mi się koncentrować wszystko to, co stanowi o sile i specyfice poezji Stefana Żarowa, przywołuje ważne dla niego tematy, jak odwołania do pamięci, diagnoza współczesności, zadania poety, przenikanie zmysłowych i intelektualnych doznań oraz próba ich opisu, także w wymiarze metafizycznym. Znamienny jest

niejednoznaczny sens łacińskiego tytułu, który można przekładać jako: *starają się słuchać*, co odnosiłbym do poetów właśnie lub inna wersja, która może mieć brzmienie: *nie chcą słuchać, lecz mówią*. Mamy więc tu do czynienia tyleż z paradoksem, co głębokim rozpoznaniem kondycji poety i kondycji człowieka, a co ujęte zostało w słowach: *To moje widzenie / Zapisane* i kilka wersów dalej: *To moje widzenie / Utrwalone*, bo warto *rozkoszować się wielopostaciowością / Bytu*.

Gdyby na koniec pokusić się o podsumowanie zawartości całego tomu *na Skraju podróży*, spróbować przypisać mu jakiś jednolity charakter, to powiedziałbym, że jest on opowieścią-przenośnią wywołującą, po leśmianowsku mówiąc: zaświat. Jest ewokacją poznawczej dociekliwości, może nie w przypadku każdego wiersza, ale na pewno rzetelną i własną. To nic złego, bo przecież nawet poetycka wnikliwość staje nierzadko przed niemożnością wypowiedzenia i nazwania tego, co nie jest do wyartykułowania możliwe, ale co czujemy, że jest, prawdziwe i rzeczywiste, a nie fikcyjne i tylko wymyślone.

Najkrócej mówiąc: tom, o którym mowa, to godna uwagi opowieść o życiu i o urodzie świata. Cóż, że przemijającego. Od tego nie ma ucieczki, ale możemy wędrować i być może błądzić z wierszami Stefana Żarowa, a jednak także korzystać z szansy, by za ich pośrednictwem, próbować odczytywać swoisty palimpsest, jakim jest życie. Pełne smaków, barw, zapachów, piękna, ale bywa też, że kłęsk czy rozczarowań. Kompletne.

Stefan M. Żarów, *na Skraju podróży*, 2017.

Recenzja z Akant, Miesięcznik Literacki Nr 12/259/2017

KRZYSZTOF KWASIZUR



KONIEC

młodość przychodzi z wiekiem
wraz z oglądanymi wspólnie zachodami słońca
z roku na rok dłużej zastanawiam się co odpowiedzieć
kiedy mi mówisz Kocham cię
i zawieszasz głos jak gdyby odpowiedź była obligatoryjna.
patrzymy w ten sam punkt w oddali
niewyraźną kropkę na horyzoncie.
kłócimy się.

Jeszcze niedawno przepadałem za twórczą wymianą
poglądów
teraz wiem co powiesz, czego nie mówić i czego oboje
nie wiemy.

Starość przychodzi
wraz z końcem miłości.
Siedzimy na huśtawce zatopieni każde we własnych
myślach

byłem zmurszałą łajbą
którą ocean słów przerzucał od bytu do niebytu
jak ciężko zarobiony szeląg

<https://www.facebook.com/nadwislocze/>

między twardymi palcami kiedy go wydać przyjdzie
złożone w trwodze dłonie chwyciły się brzytwę epitetów
by ciąć na odlew

Stworzenie

tym razem się nie udało,
świat pełen niedoskonałości,
stworzenia niewarte cudów,
tylko mało i mało

kary? ile można karać?
wszak - gdy dziecko nieposłuszne,
krnąbrne i bezduszne -
gdy nie ma za co nagradzać

rodzic traci do niego serce.
zostawię ten świat
i adamowe plemię,
trudno, poniosłem klęskę

niech się sami
sobą zajmują.
ja zajmę się
innymi światami

ZNÓW

Zatem znów, mój Boże wyciągnąłem ręce,
żebyś chwycił je z góry i pociągnął mocno,
bo masz większe niż ja, pojemniejsze serce
i to ja, a nie ty, siłę się na wzniosłość.

Jeśli chcesz położyć na mym garbie ręce,
zrób to, a pobiegnę z bólu wyleczony,
to nic, że znów obiecuję, że nie będę więcej.
Jutro znów przybiegnę, byś przegnał demony.

Krzysztof Kwasizur biogram:
<https://zlp.rzeszow.pl/kwasizur.htm>

Poezja

Jolanta Michna Wiersze

Korona - wirus

narodził się spodziewanie bądź niespodziewanie
wkroczył pomiędzy żyjące istoty
bawi się tańczy zagłada prosto w oczy
pokazuje człowiekowi jego ułomność i śmieszność

kulista śmierć niczym słońce z rażącymi promieniami
zbiera żniwo przypadkiem
trudna decyzja wyboru walka o życie zbliża i
oddala

kto tak naprawdę w tej grze wygrywa a kto
przegrywa

kiedy nierówne szale wagi uginają się
pomiędzy kolejną niepewnością
3.04.2020

w Twoich ukochanych górach
zabłysło światełko wiary i miłości
jako pamiątka lat przebytych szlaków
stęsknione serce pełne spokoju
przeplecione delikatną wstęgą nadziei
spogląda na ukochane owieczki
na krzyżu pozawieszane słowa
powiewają w takt Barki
a wiatr niesie melodię daleko
po wszystkie krańce na ziemi

w Twoich ukochanych górach
pozostawiłeś święte niezatarte ślady
po to byśmy chadzali nimi codziennie
i tak jak Ty Ojczce niewidzialnie
przenikasz wszystko dookoła
nie raniąc stóp
zmierzali do jedynego celu

ukłękli jako niestrudzeni wędrowcy
w pocie czoła oddali głos
Najwyższemu z Najwyższych
2.04.2020

21.37

w 15 rocznicę śmierci Jana Pawła II
niebo rozbłysło promieniami
w Domu Ojca
pośród aniołów Papież Polak
Największy z Rodu Słowian
Patron na trudne czasy
który świat zawierzył
Bożemu Miłosierdziu
niebo rozbłysło gwiazdami
w Domu Ojca
pośród świętych Święty
Nasz człowiek - Wielki Papież
Orędownik u Boga
Syn polskiej ziemi
oddany Maryi całym sercem
zawsze z nami dzisiaj i jutro
2.04.2020

To miejsce
Płacze niebo łzami niepokoju
w strugach deszczu w samotności
idzie placem świętego Piotra
Papież Franciszek Jezuita
wszędzie pusto
jakby to miejsce zamarło
kiedyś Jezus też modlił się samotnie
słaba wiara miłość nadzieja
gdzieś w poplochu jak pył przepadły
pod krzyżem Nasz Ojciec hołd
Zbawicielowi oddaje
z kolumny na Rzym i świat
padają słowa błagalne
obudź się Panie obudź
a przecież myśmy spali wtedy i teraz

przeoczyliśmy to co w życiu najważniejsze
czy Bóg będzie dla zagubionego ludu łaskawy
27.03.2020

przymusowy przystanek
zostań w domu nie wychodź
kto by pomyślał
że będzie coś silniejszego
co złamie serce
odejnie drogę
zabierze oddech
skrzywi tok myślenia
i z uśmiechem
pozostawi białą plamę
wewnątrz
24.03.2020

Przyszłam do Twego grobu Jezu
po raz pierwszy i po raz kolejny
pustka uświadomiła mi
że stało się coś niezwykłego
wokół nie było żywej duszy
tylko ja i moja wiara

Przyszłam do Twego grobu Jezu
pomimo dzisiejszych ograniczeń
szalejącej światowej pandemii
zrozumiałam że tutaj znajdę to
co szukam i szukałam
pomiędzy sylabami życia

Przyszłam do Twego grobu Jezu
z sercem pełnym próśb i podziękowań
nic mnie nie powstrzymało
chciałam być blisko miłości
która wybiła się ponad śmierć
odniosła najprawdziwsze Zwycięstwo
12.04.2020



Jolanta Michna - poetka z zamiłowania do poezji. Urodzona w Łańcucie, zamieszkała w Wysokiej k. Łańcuta. Absolwentka TRR w Wysokiej, Wyższej Szkoły Prawa i Administracji w Przemysłu i Wyższej Szkoły Zarządzania w Rzeszowie. Wydała 14 tomików wierszy:

- Nie ma nic bardziej konkretnego jak życie – Bonus Liber, Rzeszów 2012.
- Święteczny prezent – Geokart –International, Rzeszów 2012.
- Co będzie kiedy już mnie nie będzie – Bonus Liber, Rzeszów 2013.
- Na dłoniach niosę życie – Bonus Liber, Rzeszów 2014.
- Pójdę w cień za tobą – Bonus Liber, Rzeszów 2014.
- Nienasyceńcie – Miniatura, Kraków 2014.
- Kiedy rano wstaje świt – Bonus Liber, Rzeszów 2015.
- Brzegiem myśli – Miniatura, Kraków 2015.
- Mamy jedno niebo – Sowello, Rzeszów 2016.
- Nocny ślad wierszy – Miniatura, Kraków 2016.
- Pytania otwarte – Pieszycze 2017.
- Nieświadomi procesu ścierania – Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lubliniec 2018.
- Metafory przestrzeni – Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu 2018.
- Miłość z szuflady - Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu 2020.

Jej wiersze ukazały się w licznych antologiach, almanachach, również w czasopiśmie regionalnych, ogólnopolskich i polonijnych (m.in. Głos Gminy Łańcut, Gazeta Łańcucka, Głos Tyczyna, Nasz Dom, Nasz Dziennik, Akant, Gazeta Kulturalna, Radosława, Biały Orzeł, Bezkrzes, Kurier Błażowski, Nasz Przemysł, Angora). Brała udział w konkursach poetyckich i literackich, współudział w spotkaniach poświęconych poezji. Od kilku lat uczestniczy w Dorocznym Spotkaniu Poetyckim organizowanym przez Centrum Kulturalne w Przemysłu. Prezentowała swoje wiersze na antenie Radia Fara. Jest członkiem Grupy Twórczej Inspiratio działającej przy CKGŁ.

<https://www.facebook.com/nadwislocze/>

Teresa Paryna

Kiedy przekwitną czarne kwiaty

Kiedy przekwitną
czarne kwiaty

Stój.
Nie podchodź!
On tu jest –
czai się w oddechu,
klei się do rąk.
Między nami
dwa metry życia
i góra lęku...

Musimy się rozejść
w naszą samotność.
Niech prowadzą nas
wiara, nadzieja i miłość!

Kiedy już przekwitną
czarne kwiaty tej wiosny,
zatańczymy razem
na zielonej łące
taniec życia,
taniec zwycięstwa!

3.04.2020 r.

Nadzieja nie umiera

Zostań w domu –
inni mają gorzej
po rzęsy zanurzeni w lęku,
wciśnięci w kombinezon



niepewności...

Czy i tym razem się uda?
Na pustych ulicach
zapach wiosny miesza się
z zapachem śmierci.

Czym są teraz wysokie salony,
napuszone elity? –
runęły plany,
padają złudzenia,
trzeszczą w szwach teorie...

Czy to początek
nowej normalności
z respiratorem i maską?

Zostań w domu –
nareszcie masz czas!
Napraw co zepsute.
Nadzieja nie umrze.
Obiecujecie, że już wkrótce
zdejmiesz rękawiczki
by założyć pierścionki.

13.04.2020 r.

Koronawirus II

Gdyby nas nie zatrzymał –
biegli byśmy dalej
na złamanie karku
bez tchu i bez sensu...

Wielki Post jakiego nie było!

Zatrzymał się, zwolnił
światna krzyżowej drodze –
w bólu,
w lęku,
w gorączce
szpitali jednoimiennych
z lekarzem Cyrynejczykiem,
z pielęgniarką Weroniką,
z respiratorem i maską,
z narodowym lamentem...

„Gorzkie żale” pustych kościołów,
pokuta izolacji,
gorycz niepewności,
trwożne milczenie...

Popiół i proch –
na głowy nasze,
na serca nasze,
na życie nasze,
na ocalenie.

24.03.2020 r.

Zboczem izolacji

Wiosna
ostrym krzykiem forsycji
z szarości się dźwiga,
przechodzi obok,
za zamkniętymi drzwiami,
pustą ulicą,
wyludnionym parkiem,
zboczem izolacji,
za szybą,
za lękiem,
za wyobraźnią...

Prószy bielą tarniny,
przebija się seledynem,
słodko pachnie fiołkami.
Na kobiercu zawilców
bez maski i rękawiczek
pozuje do zdjęć.
Żaden wirus jej nie zatrzyma.
Jak przed wiekami
po Zmartwychwstaniu
idzie z Chrystusem
drogą do Emaus.

14.04.2020 r.

Koronawirus

Bez uprzedzenia wymiółł ulice
miast
z krzykliwych marszy wolności
nierównej
i równości dziwnej.
Z karnawałowych barwnych koro-
wodów,
z tłumów w supermarketach i
restauracjach.
Szkoly bez uczniów,
Teatry bez widzów,
Stadiony bez kibiców,
Kościoły bez wiernych...
Szczelnie zatrzaśnięte bramy
granic.

Stawiamy pierwsze kroki
w nowej rzeczywistości:
kupujemy detergenty, zapasy
żywności,
lekarstwa i ochronne maski.
Skrupulatnie przestrzegamy hi-
gieny
i zamknięci na cztery spusty lęku
w klatkach mieszkań
z zapartym tchem czekamy...
Nie ważne ile mamy lat –
pięć, pięćdziesiąt pięć czy sto
pięć...
Chcemy żyć! –
z guzem wątroby, z chorym kola-
nem,
z zespołem Downa, z protezą

biodra –
w domu, w sierocińcu, w klasztorze –
po prostu chcemy dalej żyć!

Nagle bez znaczenia marka samochodu,
markowe ubrania, tytuły przed nazwiskiem,
lista osiągnięć, sława –
chcemy żyć!

Dalszy ciąg będzie pisać ten jeden maleńki,
co bez zbrojnej armii
teraz niepodzielnie rządzi wielkim światem.

27.02.2020 r.

Pascha 2020

Święta noc z pełnią księżyca.

Gromadzą się Izraelici
jak my dzisiaj.
Na drzwiach krew baranka –
przejście Anioła Śmierci...
I wyszli z Egiptu –
droga daleka, przez pustynię
przez ogromne morze.
Pascha – przejście z niewoli do wolności.

Pierwsza wiosenna pełnia księżyca,
taka sama jak wtedy.

Pascha – przejście Chrystusa.
Nagle świat zatrzymał się w biegu...
Puste kościoły,
pełne szpitale,
morze niepewności,
pustynia lęku,
prośba o cud:
„Od powietrza, głodu, ognia i wojny
wybaw nas...”

Przychodzisz Chryste Zmartwychwstały
z nocy tego świata.
Wchodzisz przez zamknięte drzwi
naszych domów –
Król Życia! Pan śmierci!

Krzyż już tylko
chwalebłą pamiętką.

15.04.2020 r.

Teresa Paryna urodziła się w Sośnicy Jarosławskiej. Mieszka i tworzy w Przemyślu. Jej wiersze były publikowane w ponad 40 almanachach, antologiach, prasie ogólnopolskiej i polonijnej. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Tłumaczona na język angielski, arabski, białoruski, czeski, rosyjski, rumuński i ukraiński. Jest również autorką opowiadań, prozy poetyckiej i felietonów.

Opublikowała zbiory wierszy:

- Ziarnkiem prochu, Przemyśl, 1992 r.
- Dotknąć nieba, Przemyśl, 1996 r.
- Obok milczenia, Szczecin, 1998 r.
- Tylko osty, Rzeszów, 2000 r.
- W kwadraturze dni, Starachowice, 2002 r.
- Z niebieskiej mgły, Szczecin, 2003 r.
- Cienie bliskie i cienie dalekie. Wiersze wybrane, Rzeszów, 2004 r.
- Z białej ciszy, Jarosław, 2009 r.
- Szlakiem piątej Ewangelii, Jarosław, 2009 r.
- Od bólu do nadziei, Jarosław, 2010 r.
- W porze jaśminowej, Jarosław, 2010 r.
- Piękniejsze od wiersza, Rzeszów, 2012 r.
- Błogosławiony czas, Rzeszów, 2012 r.
- Z paletą dobroci, Przemyśl — Rzeszów, 2014 r.
- Szlakiem piątej Ewangelii, Wyd. II, Rzeszów 2014 r.

Więcej o autorce na stronie:

<https://zlp.rzeszow.pl/paryna.htm>

Poezja

Ryszard Mścisz - Korona-poezja

Bóg z pustego kościoła

pusty kościół niósł głos między nawami
na witrażach malowała się zaduma
Bóg nie zachowywał odległości wciąż
był blisko mury ani zarazy nie mogą nic
przeciw niemu podawał upadającym rękę
bez rękawiczek zachował twarz bez maski

msza na odległość obraz którego nie można
dotknąć niczym tęsknota co rośnie w czasie
rozumiem niewierny Tomaszu dotyk jest
jak obecność niekiedy wszak muszą wystarczyć
smutne objęcia oczu

dzwony Zmartwychwstania rezonują
w nas nie ma kwarantanny od Boga
bywają dni gdy przychodzi próba
zapominając że nie wypada w święta

Pandemia

wiersz nie zabija koronawirusa
daje krótką kwarantannę od niego
gdy się rodzi

poezja potrafi zarażać ale nie uśmierca
objawy nie są zbyt uciążliwe odosobnienie
dobrowolne nie wymaga strażników

pisalem kiedyś dom mój azyl
nie wiedziałem że może mieć coś
z więzienia
zamyka razem z bliskimi
ratuje przed śmiercią chorobą
roznoszeniem zła
a jednak wnika do niego ból
przez okno na świat

wirtualny świat może być
bliski dawać radość jeśli
nie jest jedyny przymusowy
nie podaje nieuchwytej ręki
obecności nie czyni obrazem

ręce zniszczone od mycia
jak u Lady Makbet a przecież
nie brały udziału w zbrodni
chciałyby uścisnąć wolność przekazać
znak spokoju w świątyni życia

Korona z głowy...

Kwitło życie towarzyskie, świat cały był otwarty, wiedza siedziała na swym tronie
I nagle dnia pewnego przygasio wszystko, bo tyran wirus przylazł i to w koronie.
No i skończyła się cała dumna wolność, życia swoboda, osobista w sztuce biegleść,
Bo on wymyślił, że dom jest twą twierdzą, człowiek zarazą i to na odległość.
Kiedyś występy, spotkania, oklaski, wycieczki i poznawanie nowych twarzy.
Dziś rękawiczki zdbią rękę a głowę maska - jak złodziejowi, co o łupie marzy.
Miałeś krok rzeński ku wciąż nowym rzeczom, mogłeś planować rok po roku,
Teraz jak wyrok brzmi każdy komunikat, policja karci Cię w dzień i o zmroku.
I tylko przyszłość może kryć nadzieję - choć wciąż się staje jakby bardziej odległą,
Że przed wyrokiem jednak ocalejesz i zdołasz wybić się kiedyś na niepodległość



**Ryszard Mścisz, członek Związku Literatów
Polskich w Rzeszowie.**

Wydane książki:

- Życie to tylko impresje, Nowa Sarzyna 2000, ss. 57
 - Wibracje, Rzeszów 2002, ss. 54
 - Zezem na świat, Stalowa Wola 2002, ss. 147
 - Na strunach lat, Rzeszów 2004, ss. 64
 - Rozeźnienie, Rzeszów 2007, ss. 71
 - Strumienie poezji, Stalowa Wola 2010, ss. 66
 - Swojski diabeł i inne humoreski, Stalowa Wola 2012, ss. 120
 - Korytarze słów, Stalowa Wola 2014, ss. 84
 - Czytanie nieobojetne, Jeżowe 2016, ss. 140
 - Życie (u)daje szkołę, Jeżowe 2018, ss. 232
 - Kołatanie do wrót nocy, Rzeszów 2019, ss. 66
- Audiobooki
- Humoryski, WiMBP w Rzeszowie, Rzeszów 2014, 04:42:29

Biogram i kontakt na stronie:

<https://zlp.rzeszow.pl/mscisz.htm>

Beata Hil-Dobrzeńska (Bodych)

INACZEJ NIŻ ZAWSZE

No i się doczekał.
Władza okrojona
znacznie.
Teraz na kolanach...
Jeszcze pokrzykuje.
Człowiek.
Zawieszony...
Jak bańka pusta,
pod strzechą
czasoprzeźreni
Świat.
Zastygł.
Półmartwy chaos
porządkuje
system.
Sztynni.
Obudzeni
w oderwanej
od innej
rzeczywistości.
Cisza.
Pustka.
I nikt
tego nie zauważył.

21. 04. 2020 r. Żyrardów

RETORYCZNIE

Istnieje
Jestem
ale Kim?

Pudłem
Z czymś,
czego nie znam.
Futerałem
Kogoś...
To obce!
Etui
na pustkę
Na krnąbrność
Bezosobowości.

27. 02. 1998 r., Żyrardów

OCZAMI BABCI... ŻYJE

Ciężkie
firanki przeszłości,
lekką unosi
powiew
wspomnień.
Zagrzybiałe
od łez
ściany,
rozjaśnia
zapłakany
uśmiech.
Sufit
choć zmurszały
dzielnie się
trzyma.
Marzeniami
tkany obraz
przyszłości i
wciąż świeży



zapach miłości...
Rozstrzelonej tu
w pokoju.
Ona szyla lalki...
dla mnie też

09. 06. 2019 r. Żyrardów

* * *

Za ścianą
mojego Kraju
głuchy krzyk.
Za ścianą
mojego Domu
ból i strach.
Za ścianą
mojego Serca
walka trwa.
To mógł być
mój Kraj...
To mogłam być
Ja.

Mielec , 13 listopad 2015 r.

Poezja

WOKÓŁ PORTRETÓW MIAST (A)

Setki
smętnych oczu,
wpatrzonych
nigdzie.
Kilka ust,
otwieranych
w pośpiechu i
zamykanych
od niechcenia...
z trzaskiem.
Metalowe
nozdrza,
flikają
nie tylko
w niepogodę.
Bezosbowa postać,
stoi
odziana
w betonowy szlafrok...
Z duszą
niczyją.
Nie tylko On jeden.
Żyrardów (wiersz z 1999 roku)

MAJÓWKA

Wyciął serduszko,
chwycił za uszko
Króliczek mały
kosz malowany.
Kwiatów naręcze
dzwoneczków dźwięcznych,
lili i maków
od Morza po Kraków...

Zbieranych z Naszych
Ojczystych Włości
Zapach pól niesie
Polski po Świecie.
22. 02. 2019 r. , Żyrardów

SPACER

Ups... Znienacka.
Rozrzucone części
mnie
wracają na miejsce.
Tulę do siebie
kurz
falującego jeszcze
chodnika.
I choć przerabiam to
niepierwszy raz...
Dlaczego,
do cholery,
tak trudno się
poskładać?
Na twarzy
zamiast łez,
piasek.
Dłonie
jakby głąskały,
szaro-czerwoną
kostkę...
Tyle twarzy
przeszło.
- Pijana!
- Nie.
Co ty wiesz,
do cholery...
Tylko epilepsja.
Żyrardów , 13 lipiec 2019 r.
(sobota, 04:05)

Beata Hil-Dobrzeńska (Bodych)

Bezsensność
Oczy bołą
od niespania.
Książki
przepychają się
na półce...
- „ Czy ja?”
Sny przychodzą
niecierpliwie...
- „ Poczytaj mi.”
Odrobione zaległości
życia.
Nawiedzają
myśli:
- „ Czy można było
inaczej?”
Dylemat
- nietragedia.
Bezsensność
zabójstwo
na jawie.
Żyrardów, 13 lipiec 2019 r.
(sobota, 04:18)

NA OPAK

Krzykiem ciszy
rozedrę spokój,
jak zmęczone płótno
na sztalugach.
Porządkiem nieładu
ulożę
poplątane nici
życia.
Upokorzę przybite
beznadzieją
marzenia.

Beata Hil-Dobrzeńska (Bodych)

Planom
odetną skrzydła.
Sama
oddam się
Diabłu.
Hmm...
Z rozkoszą.

Żyrardów 2 lipiec 2019 r.
(wtorek, 11:36)

W LESIE

Usłyszałam dziwną mowę.
-Oszkalował Zając Sowę.
Sowa puszy się huka:
- Niech Pan w głowę się popuka.
Szarak na to oburzony:
- Oddaj mi klejnoty żony!
Sowa na to: - Idź do Sroki,
ma korale i breloki.
Zając boczy ssię i krzyczy:
- Wszyscy wiedzą w okolicy,
żeś jest tutaj całkiem nowa,
przyleciałaś spod Tarnowa.
Na to Szarakowi Sowa:
- I cóż z tego? Nic nie chowam.
Winowajcę przyjacielu,
gościsz w domu od lat wielu.
Żyrardów 9 października 2018r.

TAKIE MIEJSCE

Jest taka chwila,
pomiędzy było a będzie,
gdzie radość
koloru nieba,
gdzie czułość

jak mech aksamitna,
gdzie miłość,
przesycona zapachem żywicy,
spada
złotymi kroplami
na Nagie ciała.
Wypełnia je żarem
i rozpina
na złotych szpilkach,
jak motyle.
Trwamy w bezruchu
i tylko serc łopot,
jak krzyk.

Żyrardów 1996 r.

NIE POZA MNĄ

Obsypana dziurami
- jego.
Przyszedł pusty.
Twarz
wytatuowana bólem
- fiolet
z nutą czerwieni.
To z miłości.
Strach
wiernie stał
- pompując
energię we mnie.
Codzienność.
Łzy zamiast kawy.
Uśmiechnięte
zapłakane buźki.
- Nadzieja?
Wylęknionych
oczu sześć...

- czy już? - kiedy?
Mamciu...
Ucieczka
Sen
na ławce w parku
- zimą.
Wtulone buźki
- Ja tylko...
Nie ustałam.
Płaszcz
do ławki przywarł
- łyż do policzka.
Pamiętam:
On...
Dziury...
To nic... To nic.
Żyraardów, środa 28.08.2019 r.

* * *

Beata Hil-Dobrzeńska (Bodych) - ur. 1972 r. w Żyrardowie (mama dwójki Dzieci z niepełnosprawnością). Pisze od młodości. Publikacje zbiorowe: prasa, Antologia Ziemi Żyrardowskiej, Metafora Współczesności - Międzynarodowej Grupy Literacko - Artystycznej „Kwadrat”, Żyrardowskie Zeszyty Literackie. Wyróżniana w konkursach i turniejach poetyckich. Związana z rodzinnym Żyrardowem mimo 8 lat pobytu w Mielcu na Podkarpaciu. Obecnie związana z ŻWL w Żyrardowie po dość długiej przerwie.

Jadwiga Buczak

W cieniu Łopienki

„Nikt nie może uciec od samego siebie, gdziekolwiek by uciekł”.

Urszula Sipińska

Moim Rodzicom i całemu Wojennemu Pokoleniu.

PROLOG

„Halo, halo. Tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia. Dziś rano o godzinie 4:45 oddziały niemieckie przekroczyły granicę Polski łamiąc pakt o nieagresji. Opanowały szereg miast. Zaraz usłyszycie państwo komunikat specjalny”.

„A więc wojna. Z dniem dzisiejszym wszystkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Wysiłek całego narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteście żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa”.

– Wojna? Niemcy wypowiedziały wojnę?!

Ludzie pogłaścili radia, wyczęli słuch, żeby wśród trzasków nie uronić ani jednego słowa z wypowiedzi prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego.

– Wojna!!! Bandycki najazd armii niemieckiej bez wypowiedzenia wojny!!!

Krzyczeli ochrypniętymi głosami mali roznosiciele gazet. Mieszkańcy Warszawy nerwowo niemalże wyrwali z rąk gazeciarzy „Goniec Warszawski” z 1 września 1939 roku i rzucali 10 groszy, żeby przeczytać: „Obywatele Rzeczypospolitej! Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i Historii. (...)”

Wojna!!!

Wróg zaatakował z lądu, morza i powietrza. Na Warszawę posypały się bomby. Przed atakiem Luftwaffe stolicy broniły pododdziały Ośrodka Obrony Przeciwlotniczej. Niestety, nieskutecznie. Waliły się domy. Ginęli ludzie. A był to dopiero początek. Potem była okupacja, rozstrzeliwania, obozy koncentracyjne, getta, Holokaust.



Bieszczady, widok na cerkiew w Łopieniec, fot. autorki.

Nikt nie spodziewał się ataku z drugiej strony. O świcie 17 września rozpoczęła się agresja Związku Radzieckiego na wschodnie ziemie polskie. Rezultat podpisanego 23 sierpnia 1939 roku paktu o nieagresji między Niemcami a Związkiem Radzieckim zwanym paktem Ribbentrop–Mołotow. Tak więc dokonał się IV rozbiór Polski. Na ziemie zagarnięte przez ZSRR, rozkazem Ławrija Berii, pierwsze wkroczyły oddziały NKWD dokonując masowych aresztowań. Wpadali do domów zniemacka wywlekając oficerów Wojska Polskiego, a rodziny wywożąc na Sybir.

Strach opanował mieszkańców ziem nad Bugiem. Ludzie patrzyli przerażeni jak Armia Czerwona wkracza do miast. Zająte zostały Wilno, Brześć nad Bugiem, Białystok, Lwów, Łuck, Stanisławów.

Wojna!!!

Okazało się niebawem, że Polacy mają jeszcze jednego wroga, który z dnia na dzień rósł w siłę. Były to nielegalne, faszystowskie organizacje terrorystyczne: Ukraińska Powstańcza Armia i Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów Bandery. Chciały one za wszelką cenę stworzyć Samoistną Ukrainę, a w Polakach widziano największych wrogów stojących na przeszkodzie do osiągnięcia tego celu. Napadały na wsie paląc je i w bestialski sposób mordując ludność cywilną, nie oszczędzając nawet swoich, jeżeli ci ich nie popierali. Członkowie tych organizacji byli dobrze zorganizowani podzieleni na kureny (odpowiednik batalionu) i sotnie (odpowiednik kompanii). Jak pisał Wiktor Poliszczuk „...to, czego dopuścili się OUN–UPA należy kwalifikować jako zbrodnię ludobójstwa”.

Nastąpiła wyjątkowo ostra zima. Temperatura dochodziła do minus 41 stopni C. Mrozy trwały aż do marca.

Wschodnie rubieże Polski opanował mróz i Armia Czerwona. Brak było chleba, opału. W mieszkaniach na ścianach pojawiał się szron.

– Nawet przyroda jest przeciwko nam – mówili ludzie.

– To długo nie potrwa. Nie może długo trwać. Wojna przed świętami się skończy – pocieszali inni.

Łopienka, marzec 1940 roku.

Zima tego roku była wyjątkowo mroźna. Lód skuł bystry potok Łopienka. Na stokach Łopiennika i Korbanii zalegały grube warstwy śniegu chociaż był już marzec. Mała bojkowska wieś w Bieszczadach była odcięta od świata. Zasypane śniegiem chłazy sprawiały wrażenie opuszczonych. Niskie, drewniane zabudowania pokryte strzechą przywarły do ziemi, jakby chciały się schować przed zimnem i przeczekać ten ciężki czas. Aby do wiosny. Z niektórych tylko wydobywała się wąska smużka dymu świadcząca o tym, że jednak ktoś tam żyje. Wszystkie były do siebie podobne, czy to Bojków, Łemków, Ukraińców, czy Polaków. A i ludzie nie pytali czyś Rusin, czyś Polak. Jednakowo się żyło. Biednie ale spokojnie. Do jednej cerkwi chodzili, do jednego Boga się modlili.

Dnie wprawdzie stawały się coraz dłuższe, ale ludziom nie chciało się z chałup wychodzić. Bo i po co? W pole nie pójdzie. Owiec na pastwisko nie wyprowadzi. Tylko stara Kawułydzowa nie mogła usiedzieć na miejscu. Okutała się jakimiś szmatami i brnąc po kolana w śniegu zastukała do Drozdów.

– Co tam u was? Dawnoście nie byli w cerkwi.

– W taki ziąb? Dziecka małe to i robota w chałupie zawsze się znajdzie.

Spojrzała z uśmiechem na bawiącą się w kącie czwórkę chłopaków. Jasne główki pochylały się na wystruganymi z drewna zwierzątkami.

– A wasz chłop?

– Ano siedzi i czeka jak lody zejda. Struga dzieciakom zabawki. A wy macie co do garnka włożyć?

Zmieniła temat i spojrzała na chudziutką, zgarbioną kobiecinę. Żal się jej zrobiło. Miała tylko syna, ale ten nie dbał o matkę. Stara wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała.

– Siadajcie przy ławie. Zaraz będzie wieczerza.

Strzepnęła przy progu śnieg z butów, zdjęła z głowy chustę, odwinęła się z wierzchnich szmat i weszła do izby zasnutą dymem z pieca. Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się do zapachów wydobywających się z garnka pomieszanych ze swojskim i miłym zapa-

chem bydła. Drozdowie, jak wszyscy gospodarze, brali je do chyży na zimę. Bo to i zwierzątka nie zamarną, a i ludzi ogrzeją.

– Wasyl was pozdrawia – spojrzała z ukosa na Mikołaja, który w kącie coś strugał i udawał, że starej nie widzi.

– Podziękujcie – Maria wzruszyła ramionami i postawiła na stole wieczerzę.

Kawułydzowa rozsiadła się z zadowoleniem i przyciągnęła do siebie miskę z parującą kapustą, żeby łatwiej sięgnąć łyżką.

Mikołaj z ociąganiem wstał ze swego kąta. Nie lubił starej i jej syna ale się nie odezwał. Co robić. Gość w dom, Bóg w dom.

Łopienka, sierpień 1944 rok

Maria stała przy oknie zapatrzona na góry. Jej ukochane góry. Chciała zatrzymać ten obraz w pamięci. Zielone łąki, szumiące drzewa, które niedługo zaczną przybierać barwy złota i czerwieni.

– Jak tu pięknie – westchnęła. Zza góry ukazała się smużka dymu, żeby za chwilę buchnąć czarnymi kłębkami. – Znowu jakaś wieś się pali. Już nie drżała na ten widok, nie odwracała głowy. Patrzyła w otępieniu.

– Mikołaj ma rację, trzeba uciekać. Tylko dlaczego tak daleko? Ciekawe jak tam jest? I gór tam nie ma.– Starła się wyobrazić tę wieś pod Lublinem, której nawet nazwy nie mogła zapamiętać. Jakaś samotna daleka krewna jej męża tam mieszkała. Przytuliła mocniej dziecko. To był jej najmłodszy, piąty syn, a tak chciała córeczkę – jak to może być bez gór? A gdzie się pasą owce? – Usiadła na malowanej skrzyni, rozpięła koszulę i zaczęła karmić niemowlę.

– Jedz, syneczku, jedz. Musisz się najeść przed podróżą. Jutro pojedziemy daleko – znowu westchnęła – przed tobą Jasieńku nowe życie. Zupełnie inne.

Tej malowanej skrzyni, co ją dostała jak szła za mąż, też nie wezmą. Nie zmieściła się na wóz. Większość tobołków była już zapakowana. Rano tylko konia zaprzęgnąć i w drogę. Potem koleją dalej – Boże! – przeżegnała się. Widziała kiedyś pociąg jak była w mieście. A teraz mają jechać tym pociągiem. Jak to wszystko pomieścić w wagonie?

Skrzynia stała pod oknem, więc dalej mogła patrzeć na zielone łąki i czarne kłęby dymu. Zaczęła lekko się kołysać. Najedzone dziecko spokojnie zasnęło. Położyła je na poduszce w koszu pod ścianą, bo i kołyska była już na wozie. Ze ściany spoglądała Matka Boska Łopieńska. Duża ikona wisząca według zwyczaju w świętym kącie czyli we wschodnim rogu izby.

– Wiesz Jasieńku, Matka Boska nad tobą się pochyla, będzie cię strzec.

Wasył Kawułyca wyszedł z chałupy jak już szarzało. Nie chciał, żeby sąsiedzi widzieli jak idzie w stronę gospodarstwa położonego na skraju lasu. Stary Abramow jeszcze przed wojną pojechał do Ameryki. Za przywiezione pieniądze wystawił sobie okazałą chałupę. A dla zwierząt osobne pomieszczenia. Takich chałup w Łopien-ce było cztery.

- Boh w pomoszcz’
- Czego chcesz?
- Ja do waszego dowódcy.

Młody, postawny mężczyzna założył ręce na piersi, stanął w rozkroku i zatarasował sobą wejście.

- Jakiego dowódcy?
- Nie udawaj Nikita. Wszyscy wiedzą, że u was nocuje koman-dir. A ja mam ważną sprawę.
- Co się tam dzieje?
- Kawułyca chce z wami gadać.
- Dawaj go!

Mężczyzna wzruszył ramionami i zrobił wąskie przejście, tak, że Wasył z trudem się przecisnął. Łypnął tylko na młodego spod oka ale się nie odezwał. – Lepiej z nim żyć w zgodzie – pomyślał – wiadomo, że to pierwszy zabijaka we wsi.

Wszedł do ciasnej, słabo oświetlonej izby. Zmrużył oczy, żeby dojrzeć siedzącego w kącie. Mężczyzna miał nie więcej niż trzydzie-ści lat. Niegolona od kilku dni broda zaślaniała pół twarzy. W migoczącym blasku świecy błyszczały tylko czarne oczy.

- Chaj żywe Bandera!

Siedzący spojrzął z ironią na gościa. Pogardzał tym szcurkiem, jak zawsze o nim mówił, ale jego informacje przydawały mu się.

- No co tam Wasył? Co we wsi? Dawno cię nie było.
- Ano, panekomandir, te Polaczki jutro wyjeżdżają. Ludzie mówią, że to przed wami chcą uciekać. Ponoć donieśli na milicję gdzie przebywacie. Teraz mają stracha.

Paweł odgarnął kosmyk włosów z czoła i bacznie przyjrzał się przybyłemu, aż temu ciarki przeszły po plecach.

- Donieśli... – powiedział cicho jakby się nad czymś zastana-wiał.
- Rano byli w Baligrodzie. Ludzie mówią, że na milicji.
- Donieśli... – powtórzył powoli – no i więcej Lachy nie do-niosą.

W nocy lunął rześisty deszcz. Ksenia szturchnęła swego męża–obudził się, okno zamknij – ale ten tylko głośniejsze chrapanął i odwrócił się na drugi bok. Szturchnęła go jeszcze raz bez skutku, więc sama wygrzebała się spod pierzyny i podeszła do okna.

– Matko Przenajświętsza! – Krzyknęła – chałupa Drozdów się pali!

Przeraźliwy krzyk żony obudził Marcina. Jeszcze zaspany pod-szedł do okna. Pomimo ulewnego deszczu drewniane zabudowy gospodarstwa sąsiadów płonęły. Przerażony koń jakimś sposobem wydostał się ze stajni i jak oszalały popędził w stronę lasu.

- Wołaj chłopów!

Wybiegł z domu. Z innych chałup też zaczęli wybiegać ludzie ratować sąsiadów, ale i też ze strachu o własne domostwa. W ruch poszły wiadra z wodą. Wiatru nie było a ulewny deszcz sprzyjał ga-szeniu. Widłami i grabiami zwalili przednią ścianę. Pożar przy-gasał. Wreszcie udało się go całkiem opanować i zrobiło się zupełnie ciemno. Deszcz powoli ustawał.

Krzusząc się od dymu weszli do izby. Ktoś przyświecił roz-żarzoną polanem. Na środku leżeli gospodarze i ich dzieci. W zapadłej nagle ciszy usłyszeli zachrypy głosu Marcina

- Nie od pożaru zginęli.

Marcin się przeżegnał i otarł pot z czoła. Inni także żegnali się nabożnie. Ktoś szepnął – zarąbani siekierami.

– Wczoraj znowu spalili jakąś wieś. Teraz Drozdów zamordo-wali. Dlaczego?

Pytanie zawisło w powietrzu jak groźna gradowa chmura. Każ-demu przeszła przez głowę myśl „a kiedy moja kolej?”.

- Mieli już wychodzić, gdy coś pod ścianą pisnęło.

Zdawało mi się – pomyślał Marcin.

- Pisnęło znowu.

- Myszy?

Odwrócił się. Pod ścianą leżała ikona oparta o duży wiklinowy kosz.

– Matka Boska nie spłonęła. Zabierzcie ją Marcinie. Przecie nie może zostać w tych zgliszczach.

Marcin Małyński należnym świętemu obrazowi szacunkiem uniósł deskę.

- Jasiek! Patrzcie chłopcy, to najmłodszy Maryśki! Żyje!

Wziął delikatnie niemowlę na ręce.

– Cud! Matka Boska go uchroniła. Przytulił dziecko i nawet nie starał się obetrzeć dwóch grubych łez spływających po zaoranej zmarszczkami twarzy.

– Cud. Matka Boska go uratowała – powtarzali wszyscy szep-tem i żegnali się nabożnie.

Stojące przed chałupą kobiety przekazywały sobie z ust do ust wiadomość o cudzie.

Ksenia energicznym ruchem wzięła od męża niemowlę. Owi-nęła chustą zdjętą z głowy, bo noc była chłodna.

- Co zrobicie z Jaśkiem?

– Ano weźmę do siebie. Mamy czwórkę swoich, to i piąte się wyżywi.

– Dobry z was człowiek Marcinowa – komentowały baby – i odważny – dodawały.

Wrocław, październik 1984 roku.

Jan Małyniak wskoczył w ostatniej chwili do ruszającego z przystanku autobusu. Przecież nie może się spóźnić na wykłady. Nigdy i nigdzie się nie spóźnia. Studenci czekają. Parę miesięcy temu się habilitował. Będzie profesorem. On, chłop, z zapadłej bieszczadzkiej wioski będzie profesorem.

Na korytarzu złapała go za rękaw młoda doktorantka. Jej czarne oczy radośnie błyszczały, a kosmyk włosów wysunął się z upiętego kucyka. Dmuchnęła na kosmyk, który śmiesznie podskoczył i opadł w to samo miejsce.

– Jedziemy w Bieszczady!

– Kto my?

– Nasza grupa od psora Malinowskiego. Zapisałam ciebie. Nie chcesz zobaczyć naszych ziem wschodnich. To przecież kawał historii.

– Helenko – starał się opanować – przecież ja jestem mediewistą.

– Ale historykiem. Nie interesują cię dzieje ziemi ojczystej?

– Interesują – powiedział bez przekonania – ale moja matka niedomaga, nie wiem czy mogę ją samą zostawić.

– Przecież masz rodzeństwo.

– No tak, ale rozjechali się poświęcie, a ja chyba byłem najbardziej z matką zżyty – uśmiechnął się z rozrzewnieniem – nawet bracia mieli mi to za złe, ale matka z siostrą bardzo mnie rozpieszczęły. Wszyscy byli ode mnie dużo starsi.

– Twoja matka musi być wspaniałą kobietą. Kiedy ją wreszcie poznam?

– Poznasz, kochana, poznasz, ale teraz pędzę na wykład.

Helenka spojrziała na zegarek – o rany! – i pobięła w przeciwnym kierunku.

Wieś pod Wrocławiem, październik 1984 rok

Ksenia siedziała przy stole i coś szyła czekając na syna. Od czasu do czasu zerknęła na telewizor, na piękną koronkową serwetkę, którą Jan przywiózł z Koniakowa i sztuczne róże wyglądające jak prawdziwe. Ładnie to wygląda. Była dumna z ładnie urządzonego domu a szczególnie z telewizora. Lubiła oglądać programy o dalekich krajach i dzikich zwierzętach. Była ciekawa świata, a ten telewizor, och! Jaki to wspaniały wynalazek! Powtarzała ciągle Janowi. – Wczoraj pokazywali słonie. Jakie one mądre! Jak dbają o dzieci! – Mamo, zabiorę cię do ZOO – mówił – zobaczysz słonie na żywo. – Nie. Gdzie ja tam do jakiegoś zoa. Po co? Mam wszyst-

ko tu, przed nosem. Nie muszę się z domu ruszać. I pochylała się nad szyciem. Przerabiała sąsiadkom stare sukienki, nicowała marynarki ich mężom, i wszystko było jak nowe. – Mamo, nie szyj tyle. Nie musisz. Masz za co żyć. – Zawsze się parę groszy przyda – odpowiadała. Czasem nawet tych paru groszy nie brała – a bo wiesz Filipowa ledwo wiąże koniec z końcem. Jan tylko wdychał. Wiedział, że nie umiała siedzieć beczynnio. Przyzwyczajona była do ciężkiej pracy. Gospodarstwo pod Wrocławiem było większe niż to w Bieszczadach, ziemia lepsza to i łatwiej uprawiać, bo równina. Jan nie pamiętał, jak tu ich przywieziono, jak wysiedli z pociągu, załadowano z dobytkiem na furmankę i zawieszono na miejsce przeznaczenia. Nie było wyboru. Wszędzie ślady wojny. Dom był zrujnowany, bez drzwi, okien, żadnych mebli. Wałęca się stodoła i stajnia. Roboty było mnóstwo, żeby doprowadzić do ładu. Udało się. Mąż dorabiał w pobliskim pegieerzei żyło się nie najgorzej. Dzieci wyszły na ludzi. Ksenia z dumą o nich myślała. Dwóch najstarszych zostało marynarzami. Jak to życie dziwnie się plecie. Urodzili się w górach a teraz mieszkają nad morzem. Ksenia nawet była u nich. Tydzień u Piotra, tydzień u Stefana. Dłużej nie wytrzymała. Woda i woda i ciągle wieje. To nie dla niej. Te równiny tutejsze też nie dla niej. Z początku ciężko się było przyzwyczać. Tęskniła za górami. Przynajmniej Ewcia wróciła do gór. Wysła za męża za Górala z Białego Dunajca. Ale to nie te zielone stoki, dalekie przestrzenie i szumiące lasy. Franciszka nie widziała, ile to będzie – zastanowiła się i zaczęła liczyć na palcach – tak, idzie już szósty rok jak wyjechał do tej Ameryki. Tylko Janek został blisko. Usłyszała skrzyknięcie furtki i spojrziała przez okno. Idzie! Wysoki, barczysty, taki inny od pozostałej czwórki. I taki mądry. Pracuje na uniwersytecie a mimo to pomaga w gospodarstwie. Po śmierci Marcina nie dałaby sobie sama rady, no bo i siły już nie te.

– Jak się czujesz mamo? Oczy sobie popsujesz, przecież tu jest zupełnie ciemno.

Patrzył z rozrzewnieniem na kobietę zgarbioną, siwą. Wydała mu się jeszcze mniejsza, drobniejsza niż parę dni temu.

– Oczy mam zdrowe syneczku. Nawet lekarz się dziwił, że takie mam zdrowe oczy. I cała jestem zdrowa jakbym miała trzydzieści a nie skończone osiemdziesiąt lat. Matka Boska czuwa. To, że się coraz gorzej czuje, że z trudem wstaje i plecy cały czas bolą nie mówiła. No bo i po co? Zaraz by ciągał po doktorach, a na starość nie ma lekarstwa. Doktory tylko pooglądają, postukają i tak nic nie pomogą. Starość nie radość, śmierć nie wesele.

Spojrziała na ikonę zawieszoną tak jak się wieszono zawsze, pochylającą się nad mieszkańcami.

– Ciebie uratowała i mnie ma w swojej opiece.

Jan nic nie odpowiedział tylko się uśmiechnął pobłaźliwie. Co go podkusiło, żeby powiedzieć Helence, że mama niedomaga. Po prostu nie chce tam jechać. Nie i już. W 47 miał trzy lata jak wyjechali. Nie pamięta nic i niech tak zostanie. Po co wracać do przeszłości, którą i tak zna tylko z nielicznych wspomnień rodziców.

– Wiem, wiem, nie wierzysz w to, a jednak...

Jak żywy stanął przed nią obraz Marcina z Jaśkiem na ręku. Był taki malutki i podduszony dymem. Gdyby nie ta ikona. Ciężka deska spadła na kosz i oparła się o jego brzegi. Córka Kseni miała wtedy osiem lat i razem z matką dbały o małego Jasia. Był taki miżernutki i cichy. Pokochały go jak swego.

– Mamo, słyszysz mnie?

Otrząsnęła się z zamyślenia.

– Tak, tak, słucham.

– Zaproponowano mi wycieczkę w Bieszczady.

– Bieszczady. Piękne góry, nigdzie nie ma takich lasów i takiego nieba.

– Mam jechać?

– Jedź, ja nie miałam okazji, a może się bałam tam wracać? Jedź syneczku i zobacz co z naszą Łopienką. Może groby rodziców odwiedzisz?

O tym, że nie jest dzieckiem Kseni i Marcina dowiedział się przypadkiem już tutaj. Miał wtedy dziesięć lat. Franciszek klócił się z ojcem o motorower.

– Powiedziałem – usłyszał głos ojca – nie dam, bo nie mam.

– Wszyscy koledzy mają motory, a ja tylko ten zdezelowany rower.

– Musimy kupić węgiel na zimę. Janek szybko rośnie. Potrzebne mu palto i nowe buty. A ty mógłbyś wreszcie iść do roboty. Masz prawie dwadzieścia jeden lat, nie uczysz się, nie pracujesz...

– Janek, Janek! – udał, że nie słyszał ostatniego zdania – zawsze ta przybłęda jest najważniejsza. Gdybyście wtedy go nie przygarnęli, nie byłoby teraz tyle wydatków.

Janek znieruchomiał. Stał pod oknem i starał się nawet nie odychać.

– Jak tak możesz mówić – głos matki był cichy i drżący – nigdy nie robiliśmy między wami różnic.

– Janek jest nasz. Nie ma o czym gadać – ojciec podniósł głos. Trzasnęły drzwi i Franciszek wybiegł z chałupy wściekły.

– Czego się gapisz gówniarzu – pchnął, aż chłopiec wpadł w maliny.

Wieczorem mama usiadła na łóżku obok niego – wiem, że słyszała Franka – pogłaskała go po głowie i wszystko wytłumaczyła.

Od tego czasu nikt nie poruszał tego tematu. Po jakimś czasie Franek kupił mu pudełeczko klocków.

– To z mojej pierwszej wypłaty, braciszku.

Bieszczady, październik 1984 rok

Był koniec października. Autobus z pracownikami Uniwersytetu Wrocławskiego z trudem pokonywał górskie serpentyny. Wszyscy byli w świetnych humorach. Śpiewali, przekrzykiwali się nawzajem. Adiunkt Zygmunt nie mógł usiedzieć na miejscu. Chodził po autobusie i co rusz przysiadł się do kolegów.

– I co powiesz panie doktorze? – Przysiadł się do Jana i Helenki – napijecie się ze mną? – Wyciągnął z kieszeni pół litra i kieliszek – za twoją habilitację.

Jan w milczeniu wypił, podziękował i odwrócił głowę w stronę okna. Zygmunt mrugnął do Helenki, ale ta pokręciła przecząco głową.

– Nie, to nie – wzruszył ramionami i z piosenką

*„Hej Bieszczady, hej Bieszczady,
na Bieszczady nie ma rady,
chciałem sobie pokowboić,
a tu krowy trzeba doić”*

ruszył na koniec autobusu. Teraz wydierało się już kilka osób

*„Na lenistwo nie ma rady.
Nie wchodziła w leś nauka,
pojechałem więc w Bieszczady,
by kowbojskich przygód szukać!
Hej Bieszczady!!!”*

Za oknem przesuwały się pejzaże jak z obrazów impresjonistów. Łagodne stoki gór pokryte lasami płonęły w październikowym słońcu. Prawdziwa złota jesień. Helenka zachłystnęła się tym widokiem. Wychowała się w mieście. Małe podwórko między blokami wystarczało w zupełności do dziecięcych szaleństw. Były zabawy w Indian, Zorro w czarnej masce zrobionej z jakiejś różowej chustki, kolor był nie ważny, ważne, że Zorro wycinał na murze patykiem Z, akcje trzech Muszkieterów albo czterech pancernych. Kolega spod piątki miał nawet kundla Szarika. Były szaleństwa i obite kolana. Ale nie było przestrzeni, zieleni i drzew i tych widoków. Do tej pory wydawało się jej, że złota polska jesień to wydumane przez poetów określenie.

– Jak tu pięknie! – Helenka kręciła się podekscytowana, nie mogła wyjść z podziwu – te kolory! To światło! Gdybym umiała malować, to bym to wszystko przeniosła na płótno! A może zacznę malować? Tak! Postanowione! Mama zawsze mówiła, że ładnie rysuję.

Jan nie zareagował. Siedział milczący. W głowie mu kołatało: Łopienka, Łopienka.

Wycieczka nocowała w Cisnej. Następnego dnia z samego rana Jan z Helenką okazją dojechali do Suchych Wirów, a potem piaszczystą drogą szli w stronę Łopienki. Po obu stronach szumiał las i

ani żywego ducha. Szli wzdłuż potoku, do którego dostępu broniły resztki betonowej bariery i wybujałe zarośla.

– Musiał tu być kiedyś uczęszczany trakt. Dość szeroki jak na wiejską drogę – zastanawiała się Helenka i oczami wyobraźni widziała jadące wozy załadowane zbożem, warzywami, jabłkami i innymi produktami rolnymi zmierzającymi do pobliskiej miejscowości. Wyobrażała sobie tych ludzi ubranych w siermięgi, tak jak na filmie „Chłopi”, którzy pokrzykiwali na konie i jechali na jarmark, żeby sprzedać swoje plony, a w zamian kupić garnki, sól, ubrania. Może kolorową chustę albo korale dla swojej dziewczyny, żony, matki?

– Czujesz ten zapach? Tam się coś dymi – pociągnęła nosem. Białe, ciężki dym snuł się nad drzewami. Doszli do niewielkiej polany otoczonej gęstym lasem starych drzew. Pocięte bukowe kłocce ułożone w pryzmy zasłaniały piece. Zauważyli je dopiero jak podeszli bliżej. Helenka z zainteresowaniem patrzyła na te olbrzymie metalowe retorty do wypalania węgla drzewnego. Słyszała, czytała o tym ale nie wyobrażała, że są takie wielkie, monstrualnie wielkie – pomyślała. Podeszli do mężczyzny siedzącego na kłodzie. Mężczyzna spojrzał na nich spod oka, rzucił na ziemię niedopałek i przydeptał. Splunął. Rękawem przetarł twarz czarną od sadzy.

– Dzień dobry – Jan odezwał się pierwszy.

– Ano, taki sobie – mruknął smolarz.

– Jak dojść do Łopienki?

– Łopienka? Była tam, prosto jak droga prowadzi.

– Była?

– Ano była – podniósł się i ruszył w stronę pieca. Uznał rozmowę za zakończoną. Miał przecież robotę.

Jan się też nie odezwał tylko pospieszył we wskazanym kierunku. Helenka z trudem mogła za nim nadążyć. Październikowe słońce grzało dość mocno jak na tę porę roku. Wkrótce na lekkim wzniesieniu ukazała się ich oczom maleńka cerkiew.

Tylko cerkiew!

Helenka usiadła pod starą lipą. Na wysokości jej oczu widniała ogromna dziupla. Pomyślała, że dziupla ta przypomina jej kształtem Matkę Boską. Jan wszedł do środka. Ogarnął go chłód. Ściany z rzecznych kamieni stwarzały nastrój doniosłości i spokoju. Ukłękł na drewnianym kłęczniku. Twarz schował w dłoniach. Tu był inny świat. Miał wrażenie jakby czas się cofnął. Nie pamiętał, nie mógł pamiętać. Był zbyt mały, żeby pamiętać tę cerkiew z lat czterdziestych ale czuł, że przynależy do tego miejsca. Do tej świątyni, do tej wsi, która została zmieciona z powierzchni ziemi. Zateńsknił nagle za rodzicami, których nie znał. Ze ściany patrzyła na niego Matka Boska Łopieńska. Taka sama, jak ta wisząca w domu matki. Ta, co go uchroniła.

Nagle poczuł czyjś wzrok na sobie. Powoli podniósł głowę. Pod ścianą, oparty na miotle stał lekko zgarbiony człowiek.

– Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać w modlitwie – uśmiechnął się zakłopotany – rzadko kto odwiedza to miejsce.

Jego bladoniebieskie oczy życzliwie spoglądały na Jana.

– Nie modliłem się. Myślałem o tym miejscu, o tym co tu się kiedyś wydarzyło. I ta ikona... – urwał w pół zdania. Czuł jak mu głos drży.

– To kopia. Oryginał jest w kościele w Polańcyku – mężczyzna wyraźnie chciał porozmawiać.

– Ach tak?

– Czasem tu przychodzę dopilnować remontu, posprzątać – powiedział szeptem odkładając miotłę pod ścianę. Przeżegnał się pospieszenie przed obrazem i stanął obok Jana. W 1983 roku zaczęto remont kaplicy. Jest zrujnowana – westchnął – dach sprzed wojny, co ją Żydzi z Baligrodu kładli zerwano, zniszczono jak całą wieś.

Jan podniósł się z kłęcznika i obaj usiedli w ławce.

– Pan tutejszy?

– Tutejszy – w jego głosie słychać było smutek – Wyjechałem z rodzicami do Cisnej w czterdziestym siódmym. Miałem wtedy jedenaście lat. Siostra matki miała tam gospodarstwo. Męża i syna jej zamordowali, to nas przygarnęła.

Zamilkł. Patrzył przed siebie jakby oglądał obrazy z przeszłości.

– Tu nie można było zostać. Front przeszedł w czterdziestym czwartym ale spokoju nie było. „Najpierw Armia Czerwona przeprowadziła pobór do wojska pośród bieszczadzkich Bojków i Łemków, których uznano za swoich, przynależnych Związkowi Sowieckiemu. Jeden z mieszkańców Woli Michowej ukrył się przed poborem w strażnicy WOP-u w Łupkowie. Ktoś doniósł i radzieckie żołdacy przyszli po niego i rozwalili za dezercję. Potem pobór przeprowadzała UPA. Ci, którzy nie chcieli iść do lasu, narażali na niebezpieczeństwo nie tylko siebie ale także swoje rodziny. W Smolniku powieszono dwóch Łemków, w Szczerbanówce jednego. W Olszanicy upowiec zastrzelił Rusina, bo ten nie chciał mu oddać swojej zapalniczki. Życie człowieka jest niewiele warte, kiedy rozum przyćmi nienawiść”. (A. Potocki: Przystanek Bieszczady. Bez cenzury. Rzeszów 2011, s. 156).

Bandy UPA napadały na mieszkańców. Zaczęły się wysiedlenia w głąb Rosji, to znaczy Związku Radzieckiego, a potem rozpętała się akcja „Wisła”. Wywożono ludzi na poniewierkę. Ukraińców, Łemków, rodziny mieszane, gdzie byli i Polacy. Miało to na celu zlikwidowanie zaplecza dla upowców.

Znowu zamilkł. Wpatrzony gdzieś przed siebie niewidzącymi oczami. Po chwili jakby wrócił do teraźniejszości i zupełnie innym tonem zaczął – w Lesku skończyłem technikum rolnicze i zostałem na roli.

– A co się tu stało? – Jan z trudem wydobył z siebie głos.

– Wieś opustoszała, to ludzie z okolic brali co było. Deski, cegły, okna wrywali z framugami. To już nikomu nie było potrzebne.

Zamyślił się. Obaj patrzyli na obraz wiszący w ołtarzu ale każdy zajęty był swoimi myślami. Jan starał się wyobrazić wieś, po której nie zostało śladu. Dom jego rodziców. Obejście Małtyniaków, którzy go przygarnęli.

Mężczyzna odgrzebywał w myśli wspomnienia z dzieciństwa.

– Pod koniec wojny – zaczął mówić cicho i pomału – upowcy mordowali w okrutny sposób, palono całe wsie. Nie zważali kto był Polakiem, Łemkiem, Bojkiem czy Ukraińcem. Kto nie był z nimi, był ich wrogiem. Niektórzy Ukraińcy donosili im na innych mieszkańców. Na własnych sąsiadów. Często były to sąsiedzkie porachunki. Szczególnie był taki jeden. W czterdziestym czwartym, jakoś pod koniec lata, zanim front przyszedł, podpuścił ichniego komendanta, Paweł na imię miał ten komendant, na porządną rodzinę i wymordowali wszystkich, a chałupę spalili. Podobno jakimś cudem tylko dziecko się uratowało.

Twarz Jana stężała, poczuł, że się dusi, zacisnął pięści i wpatrywał się w mówiącego z natężeniem. A człowiek mówił dalej spokojnie jakby film opowiadał.

– Ale zakazano nam dzieciom mówić o tym. Rodzinę, która go przygarnęła też by zamordowali.

– Czemu doniósł? – wychrypiał Jan z trudem.

– Ja tam nie wiem. Matka mi mówiła, już po wojnie, że mieli jakieś sąsiedzkie zatargi. Matka by lepiej powiedziała.

– Szkoda, że już nie powie.

– A niby czemu? Pamięć ma świetną. Szczególnie do tych starych spraw. I lubi wspominać – westchnął – my to już tych wspomnień mamy dość. Jak pan chce możemy pojechać do mnie. Mam tu furgonetkę. Mama się ucieszy, że ma gości.

Nikt nie zauważył stojącej od kilku minut Helenki.

– Oczywiście, że chcemy.

Jan spojrzął na dziewczynę, sam nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

– Tak proszę pana. Jesteśmy historykami i te sprawy bardzo nas interesują.

Zażywna staruszka posadziła gości przy okrągłym stole nakrytym wykrochmaloną serwetą w kratę, zrobiła herbatę, z kredensu wyciągnęła ciasteczka.

– Niestety kupne – powiedziała – Piotruś, a daj no tej naleweczki, co ją przed tobą chowam – zachichotała – tak chowam, że zawsze znajdzie.

– Łopienka? Mówicie? Pamiętam odpusty, panie, jakie to były odpusty przed wojną. Największy był 13.sierpnia w dzień Położenia Ryzy Bohorodzicy. Narodu się tyle zjechało, że ludziska spali pod gołym niebem. Przyjeżdżali z różnych miast z Rzeszowa, z Krakowa, ze Śląska a nawet z Węgier i Rusi, i Bóg wie jeszcze skąd. A kramy jakie były! Wszystko można było kupić i buty, i futra, i jedwabie, i korale, i święte obrazy. A Żydzi sprzedawali owoce i różne bakalie. Ale wszystkim, to najbardziej się podobał niedźwiedź. Cygan go miał na łańcuchu i niedźwiedź tańczył. Mówię wam. Tańczył jak jaki artysta. A potem przyszła wojna. Bo wiecie, kochani – zaczęła snuć swoją opowieść – po lasach kryli się bandyci. To były grupy Ukraińców, którzy napadali na wsie, zabijali, rabowali. Działał tutaj kurenny „Rizun”. Byli okrutni. Mordowali starych, kobiety, dzieci – zamilkła, zapatrzyła się w okno, ale nikt jej nie ponaglał – długo jeszcze po wojnie – zaczęła po chwili – budziłam się w nocy zrana potem ze strachu, podchodziłam do okna i sprawdzałam czy nikt się nie zbliża. Młodych Ukraińców chłopców, a nawet dziewczyny, wciągali do bandy. Kto odmówił, to nie pożył długo. Każdy nowy musiał zabić Polaka na oczach oddziału. Mówili „Weźmiesz sobie Lacha albo łacką detinę i zabijesz”. (St. Żurek: *UPA w Bieszczadach, Wrocław 2010, s.185*). Nawet w Łopience szkolili ludność cywilną do mordowania.

Zamilkła. Widać było, że nie może zapomnieć tamtego strachu.

„Unicy duchowni błogosławili członków UPA, poświęcali noże i siekiery – na smert Lachom – mówili – zabicie Lacha to nie grzech. I sotnie ruszyły”. (A. Potocki: *Zaginiony Świat bieszczadzkiego kresu. Bojkowie, Żydzi, Polacy, Niemcy i Cyganie. Wyd.2, Rzeszów 2014, s.60*).

We wsiach mieli swoich. Człowiek bał się nawet odezwać. Nigdy nie wiadomo kto usłyszy i doniesie. Był taki jeden we wsi. Wasył Kawułyć się nazywał. Donosił ich dowódcy o wszystkim. Podobno doniósł na polską rodzinę. Zamordowali wszystkich, rodziców, dzieci. Cudem najmłodsze się uratowało. Przygarnęli je sąsiedzi Ukraińcy. Nie wiem co z nimi. W czterdziestym siódmym wyjechali gdzieś na Zachód.

– Za co ich zamordowano? – Zapytała Helenka.

– Jak to za co? Za to, że byli Polakami. Mówili: „łacka krowa być po kolina”. (A. Potocki: *Przystanek Bieszczady. Bez cenzury. Rzeszów 2011, s. 156*).

Znowu się zapatrzyła w okno.

W ciszy, jaka zaległa w pokoju, nagle odezwał się Jan. Głos miał ochryply, mówił bardzo cicho.

– To ja jestem tym dzieckiem.

Helenka przełknęła ślinę, chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. To dlatego nie chciał tu przyjechać. To dlatego był taki ostatecznie milczący.

Kobieta popatrzyła na mężczyznę i dwie ogromne łzy spłynęły po jej policzkach.

– Ty syneczku? Byłeś taki malutki, ledwo cię odratowali. A Ksenia, to odważna kobieta. Lubili ją we wsi i nikt nawet nie pisał, że to dziecko Drozdów.

Helenka nie zważała na rozmazany makijaż, głośno wytarła nos, a syn kobiety wyszedł pośpiesznie do kuchni. Po dłuższej chwili wrócił ze świeżo zaparzoną kawą.

– W 1946 w „ciągu 10 dni zabili ponad stu wopistów, milicjantów i żołnierzy”. (*W. Mołodyński: Bieszczadzkie okupacje 1939–1945, Rzeszów 2016, s.149*). – Powiedział.

– W czterdziestym siódmym, jak zabili tego generała.... – ciągnęła swoją opowieść.

– Świerczewskiego – dodał syn.

– No właśnie, sytuacja się zmieniła. Zaczęto wysiedlać ludność. Wioski opustoszały. Bandyci nie mieli się gdzie chronić, nie mieli co jeść. Ale nie chcieli się poddać. Kryli się w ziemiankach zamaskowanych od góry krzakami. Napadali na posterunki milicji i mordowali.

Wtedy właśnie Wasyl postanowił pójść na milicję i powiedzieć, co wie o ich dowódcy. Ten ich komandir ukrywał się u Abramów. To byli bogaci Ukraińcy. Mieszkali pod lasem. Jak Wojsko Polskie zaczęło wysiedlać wszystkich, to ich syn Nikita zwał. Nikt nie wiedział gdzie się podział. Komandira złapali w lipcu i zawieźli do Rzeszowa. Tam go sądzili. A już w sierpniu ludzie mówili, że wykonano wyrok. Powiesili drania. A ten cały Wasyl podobno po wojnie uciekł na Śląsk i zmienił nazwisko.

Jan nie słuchał. Jego myśli zatrzymały się przy donosicielu Wasylu Kawułyczu. Wyglądało na to, że wywinął się od odpowiedzialności. To on był winien śmierci jego rodziców. I on za to odpowie. Odnajdę go choćby na końcu świata. Postanowił.

Jan w drodze powrotnej do schroniska w Cisnej nie odezwał się słowem. Helenka też milczała. Jej wyobraźnia szalała. Przed oczami przesuwały się te wszystkie zbrodnie, o których opowiadała kobieta, naoczny świadek. Nie widziała już czerwieni i złota. Lasy teraz wydały się mroczne, groźne. Skrywały tyle tajemnic. Dawały schronienie bandytom.

Wszyscy zebrali się w kawiarni. Był gwar, wesołe rozmowy. Adiunkt Zygmunt jak zwykle bawił towarzystwo kawalami. Tylko Helenka z Janem siedzieli pod ścianą zamyśleni.

– No co, kolego?

Profesor Ryszard Malinowski przysiadł się do nich.

– Widzę, że jest jakiś problem. Łopienka? Swego czasu zbierałem materiały na temat zbrodniczej działalności oddziałów OUN–UPA. Natrafiłem na informację o Łopienie. Sporo czasu mi to zajęło. To wieś z niesłychanie ciekawą historią. Ciekawą, a zarazem tragiczną. Jej początki datują się już na XVI wiek. Powstała na prawie włoskim w dobrach Bałów z Hoczwi. W 1672 roku Tatarzy najechali na ziemię sanocką. Dokonali ogromnych zniszczeń. W Łopienie zostały tylko 3 domy. Nie oszczędzały też wsi wybuchające co jakiś czas epidemie: ospa, tyfus, koklusz dzieciątkowały mieszkańców. W 1915 roku przez Łopienkę przeszła linia frontu. Toczyły się tam krwawe walki. Ale wieś zasłynęła głównie tym, że ukazała się Matka Boska pod postacią ikony. Dlatego też stała się ośrodkiem kultu maryjnego. Ikonę umieszczono w cerkwi pw. Świętej Paraskiewii. Obecnie jest tam kopia, a oryginał znajduje się w Polańczyku. Obecna murowana cerkiew pochodzi z I połowy XIX w. Jan nie słuchał dalszej opowieści. Tragiczną historię Łopienki z lat czterdziestych znał z innego źródła. Z własnej historii. Jego myśli zatrzymały się przy ikonie. Przecież kopia Matki Boskiej Łopieńskiej wisi od tej pory w domu jego matki.

– Panie profesorze, jak znaleźć człowieka z tamtych czasów, który zmienił nazwisko i ukrywa się do tej pory?

Profesor się zamyślił a po chwili spojrział uważnie na Jana.

– A jesteś pewien, że chcesz go odnaleźć? To jakaś rodzinna historia?

– W pewnym sensie. Muszę to sobie przemyśleć, poukładać.

– Dobrze się zastanów, czy na pewno chcesz tego kogoś odnaleźć i co zrobisz, jak już odnajdziesz.

Wrocław, listopad 1984 rok

Dziewczyna siedziała w swoim pokoju. Zasnęła zasłony i tylko mała lampka świeciła na biurku. Wcisnęła się w ogromny, stary fotel. Czarne, lśniące włosy ściągnęła gumką, wierzchem dłoni starła dwie duże łzy z policzka, nie zważając na rozmazany makijaż. Ta wyprawa w Bieszczady roztrwoiła ją zupełnie. I Jan się zmienił. Stał się milczący. Jakiś taki obcy. Jak mu pomóc? Jak odnaleźć tego donosiciela. To ta tajemnica była powodem, że nie chciał przedstawić jej swojej matce. Ksenia. Co za dziwne imię? O swoim dzieciństwie nic nie mówił. Teraz to rozumiem. Bieszczady, Łopienka....

– Helenko, córeczko, kolacja na stole. Udało mi się dzisiaj kupić 20 dkg krakowskiej bez kartek.

W drzwiach stanęła Wanda. Patrzyła na córkę z rozrzewnieniem. Jaka ona podobna do ojca. Te błyszczące czarne oczy i włosy jak smoła. I taka drobnutka jak on. Była od matki niższa prawie o głowę. Jej ojciec też był od Wandy niższy i chudszy. Znajomi żartowali, że ona wszystko zjada i dla niego nic nie zostaje. Ale charakter ma mój. I buzię ma taką śliczną. Też po mnie – pomyślała z satysfakcją – całe szczęście. Jest energiczna, odważna, wie czego chce. Roman był taki jakiś zastraszony, taki skurczony ze strachu. Tak zawsze myślała patrząc na niego. Nic dziwnego, był przecież w AK kimś ważnym więc musiał się po wojnie ukrywać. Nie miał żadnych papierów oprócz szkolnej legitymacji z niewyraźnym zdjęciem. Z otrzymaniem dowodu osobistego miał jakiś problem. Dowód dostał dopiero w 1954 roku.

– Już idę – Helenka powoli wstała z fotela – wiesz, myślałam o Janie. Ta wyprawa w Bieszczady – zastanowiła się – jakby to powiedzieć? Zrobiła na nim ogromne wrażenie. Od powrotu jest taki jakiś nieobecny.

Usiadły w kuchni przy stole. Kolacje zawsze jadły razem od kiedy Helenka pamiętała. Przez cały dzień zajęte swoimi sprawami, pracą, szkołą, ale wieczory były ich. Wspólne. Jak tu powiedzieć mamie, że chce się przeprowadzić do Jana. Rozmawiali o tym od dłuższego czasu. Jan nalegał. Czasem może nawet zbyt natarczywie.

– Mamo, ja...

– Wiem, chcesz się wyprowadzić.

– Ale... Skąd wiesz?

Wanda się roześmiała szczerze, serdecznie.

– To było do przewidzenia. I nie ma przeciwwskazań.

– Naprawdę? – kanapka z krakowską zatrzymała się w pół drogi – ale...

– Dam sobie radę, no i chyba będziecie mnie odwiedzać?

– Ale – powtórzyła po raz trzeci. Odłożyła kanapkę – wiesz, że jesteś najlepszą matką na świecie?

– A ty nieznośną córką, jedź kolację.

– Jan jest ode mnie starszy o 12 lat.

– Twój ojciec był ode mnie straszny ponad dwadzieścia.

– Opowiedz mi o nim. Jak się poznaliście, jaki był? Nigdy nic nie mówiłaś.

Herbata była już prawie zimna. Wanda jednym haustem wypila pół szklanki. Przed oczami zaczęły przesuwać się obrazy z przeszłości. Zaczęła mówić.

Był chłodny, jesienny poranek 1954 roku. Jak zwykle wpadłam na peron w ostatniej chwili. Do księgarni, w której pracowałam miałam dwa przystanki, a pociąg, jak zwykle, miał opóźnienie.

– Pociąg za chwilę przyjedzie.

Spojrzałam na mówiącego. Stał pod ścianą nieco oddalony od innych podróżnych, w zniszczonym prochowcu, z obszarpaną teczką pod pachą. Słabe jeszcze o tej porze dnia promienie słońca padały na jego lekko siwiejące czarne włosy. W jego postawie wyczuwało się jakąś nerwowość. Był mały, chudy i brzydki. Pociąg akurat nadjechał, więc wsiadłam nie oglądając się na niego. W pracy nawet o nim nie pomyślałam, ani tego dnia, ani przez kilka następnych. Chociaż codziennie coś do mnie zagadywał. A to, że znowu pociąg się spóźni, a to, że deszcz pada. Tak jakbym sama tego nie zauważyła. Z początku to mnie irytowało, ale z czasem się przyzwyczaiłam. Aż pewnego dnia, tuż przed nowym rokiem wręczył mi pakuneczek.

– Dla mnie?

– Tak.

I nic więcej nie powiedział. Otworzyłam dopiero w pracy. Położyłam na biurku i powoli zaczęłam rozwijać papier. W środku była bombka na choinkę. Najzwyklejsza w świecie. Ani ładna, ani brzydka i to mnie rozczuliło. Nie śmieję się. Właściwie sama nie wiedziałam dlaczego.

– To od twojego wielbiciela?

Koleżanki nachyliły się nad prezentem.

– Czekaj, tu jest jakaś karteczka.

„Czy zechce pani wypić ze mną kawę? Zapraszam. Roman”.

– No, no, nie możesz odmówić!

Wszystkie trzy zaczęły chichotać.

Nie odmówiłam.

Siedzieliśmy w jakimś obskurnym barze szybkiej obsługi i w milczeniu patrzyli przez brudne okno.

Potem były milczące spacerzy w mroźne zimowe wieczory. A gdzieś tak koło Wielkiej Nocy wprowadził się do mojego skromnego mieszkanca. Miał tylko dwie koszule i szczoteczkę do zębów, ale na życie dawał dość pokaźną sumkę. Dziwiłam się z początku skąd ma pieniądze, ale nie pytałam. Pracował w fabryce to i zarabiał. Kupiłam mu trochę ubrań, buty. Jak byłam w dziewiątym miesiącu ciąży wyprowadził się po cichu, tak jak był cicho cały czas. Na drugi dzień w skrzynce znalazłam list z krótką informacją: „Wybacz, muszę uciekać. Namierzyla mnie bezpieka. Nie mów nikomu, że mnie znałaś. Opiekuj się naszym dzieckiem. Roman”.

– I nie odezwał się więcej?

– Nie, nie wie nawet czy ma córkę, czy syna.

– Skąd pochodził, może wrócił w swoje strony?

– Chyba był gdzieś z Kresów. Mówił z takim charakterystycznym akcentem, a czasem nawet wtrącał obce słowa. Chyba po rosyjsku.

- I nie próbowałaś go odnaleźć?
- To on powinien do nas wrócić.

Wrocław, październik 1954 rok

Roman Piotrowski stał, jak zwykle, oparty o słup z różnymi ogłoszeniami. Nie lubił tłumu. Ciągłe miał wrażenie, że w tłumie może go ktoś zaatakować. Strach się nasilił, kiedy na ulicy Opola zobaczył dawnego znajomego. I chociaż ten go nie zauważył, to na wszelki wypadek przeniósł się do Wrocławia. O pracę w fabryce, nie było trudno. Industrializacja kraju ułatwiała sprawę. Praca w fabryce, hotel robotniczy, można się było urządzać. I nawet, jak na ten czas, zarobki były nie najgorsze. Do fabryki musiał dojeżdżać pociągiem kilka przystanków. Stawał więc codziennie rano pod tym słupem i rozglądał się bacznie, czy nikt na niego się nie czai. Tę postawną blondynkę zauważył już kilka dni temu. Przypominała mu trochę jego dawną miłość, tylko była o wiele młodsza. Wreszcie się odważył i zagadał. I tak się jakoś potoczyło, że w końcu zamieszkali razem. Wiedział, że dziewczyna jest sierotą, po ciężkich przeżyciach wojennych, on o sobie nic nie mówił. Po co? To nie była miłość, po prostu oboje byli bardzo samotni, a ona była spokojna, nie dopytywała się o nic.

Wrocław, styczeń 1956 rok

Ranek był mroźny. Śnieg, który spadł w nocy skrzył się w blasku nielicznych latarni. Roman wyszedł na dworzec i stanął, jak zwykle, pod słupem. Wanda została w domu, od kilku dni czuła się gorzej. Niedługo miało nastąpić rozwiązanie.

– Wracając kup mleko i chleb. Nie jestem w stanie wyjść nawet do sklepu – Wanda trzymając się za brzuch z trudem przeszła z łazienki na tapczan, położyła się i przykryła kocem – tak jakoś mi zimno.

– Może przynieść ci jakieś lekarstwo?

– Tu lekarstwo nie pomoże. Termin mam za dwa tygodnie, ale chyba maleństwo spieszy się na świat.

– Ciekawe po co – mruknął do siebie i wyszedł delikatnie zamykając drzwi.

Na dworzec przyszedł przed czasem. Stanął oparty o słup i myślał o dziecku. Syn czy córka? Właściwe było mu to obojętne. Tak naprawdę, to kochał tylko jedną kobietę, która go zdradziła i wyszła za innego. Właściwie nie było mowy o zdradzie, bo on nigdy jej o swoim uczuciu nie mówił. Nigdy nic go z nią nie łączyło, ale i tak poczuł się zdradzony, odrzucony, upokorzony, a tego nie mógł puścić płazem. Wiele lat hodował w sobie chęć zemsty, pielęgnował, pieścił aż w końcu...

Te rozmyślenia przerwał mu nagły ból ramienia. Obejrzał się. Za nim stał ogromny mężczyzna i żelazną łapą ścisnął jego ramię. Opanował go taki strach, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

– No, i ja ciebie znalazł. Ty durak, myślał, że uciekniesz? Że się przede mną schowasz. Wiele lat ja ciebie szukał i znalazł – rozśmiał się jakby opowiedział dobry kawał – szkoda, że komandir już tego nie widzi.

W tym momencie nadjechał pociąg. Ludzie pospiesznie ruszyli do wagonów. Zrobiło się zamieszanie. Ktoś ich popchnął. Ktoś zaklął, że stoją na drodze. Romanowi udało się uwolnić z uścisku. Błyskawicznie wmieszał się w tłum. Skurczył się, zmalął jeszcze bardziej i jak jaszczurka wpełzł do wagonu pod łokciami podróżnych. Przejechał kilka stacji bacznie się rozglądając. Do fabryki już nie poszedł. Na poczcie napisał kilka słów do Wandy. Zaadresował, przykleił znaczek i wrzucił do skrzynki. Zamknął za sobą kolejny etap życia. Znowu trzeba uciekać. I tak już będzie zawsze.

Wrocław, listopad 1984 rok

Wanda nie mogła spać. Leżała wpatrzona w sufit. To, że Helenka się wyprowadzi, to było naturalne. Lubiła Jana, wierzyła, że córka będzie z nim szczęśliwa. Taka kolej rzeczy. A poza tym, pierwszy raz pomyślała poważnie o Stanisławie. Sąsiad z przeciwka dwa lata temu w wypadku stracił żonę. Sam też przez dłuższy czas był niesprawny i Wanda pomagała mu w zakupach, czasem podrzuciła obiad, jeździła z nim do lekarza. Teraz on się odwodził. Był na rencie, więc od czasu do czasu coś wystąpił dla niej w kolejce. Przyniósł kawę albo papier toaletowy. Dobrze im się rozmawiało. W końcu zasnęła. Rano z trudem zebrała się do pracy. Mimo miłych myśli wieczorem w nocy dręczył ją znowu ten sam sen. Jadą przez pustynię. Jest gorąco, nie ma wody. Małe dzieci płaczą. Ona nie płacze. Patrzy w niebo. Jeszcze nie lecą samoloty. Jeszcze nie będzie bombardowania. Bola obdarte pięty. Buciki za małe. Zdejmuje. Teraz ma na nogach szpilki. Czarne, błyszczące. Też są za małe.

Wstała rozdygotana. Zimny prysznic trochę ją uspokoił. Popatrzyła na swoje pięty. Nowe szpilki obtarły ją do krwi. Kupiła je kilka dni temu. Dzisiaj musi ubrać stare buty. Te na koturnie. Helenka smacznie spała. Wyszła do pracy po cichu. Wiedziała, że córka zajęcia dzisiaj rozpoczyna dopiero o 10.

Wrocław, grudzień 1984 rok

– Namysliłaś się wreszcie? – Jan objął Helenkę i przyciągnął do siebie – ile czasu można mieszkać w dwóch domach? – Zaśmiała się – znowu rano szukałaś butów i okazało się, że są u mamy.

– Wiem, wiem, ale już niedługo. Nie mogę mamy zostawić sa-

mej na święta. A poza tym Malinowski naciska, żebym oddała ostatni rozdział, a ja jestem w lesie. Po świętach wezmę się energicznie do roboty i na Wielkanoc się wprowadzę. Obiecuję.

Jan westchnął, odsunął Helenkę na odległość ramienia i spojrział w oczy.

– Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

– Wiem – zaśmiała się – a co z ta obiecaną kolacją? Miałeś przygotować coś ekstra. Co to takiego?

– Niespodzianka – i wyszedł do kuchni. Słyszała zamykany piekarnik i po chwili rozeszły się smakowite zapachy. Jan wrócił z bułką szampana i dwoma kieliszkami. Postawił na ławie.

– Zaczynamy od szampana?

– Kolacja będzie za 15 minut, a tymczasem – zawahał się. Przez myśl przeleciało mu jak błyskawica, czy aby jest tego pewien, czy na pewno dobrze robi? Już za późno na odwrót.

– O co chodzi?

– Zostaniesz moją żoną?

Z kieszeni wyciągnął pierścionek, delikatnie ujął jej dłoń i wsunął na palec.

Była szczęśliwa. Nagle ten ponury grudniowy wieczór stał się najpiękniejszym dniem w jej życiu.

– Tak – wyszeptala i mocno objęła go za szyję.

Potem była wspaniała długa noc i bardzo krótki sen. Rano obudził ją zapach kawy. Za oknem padał śnieg. Duże płatki przylepiały się do szyby. Życie jest piękne!

Białe Dunajec, grudzień 1984rok

Ewa Byrcyn stała przy oknie i z niecierpliwością patrzyła na drogę. Śnieg sypał gęsty, niewiele można było zobaczyć. Patrzyła na ośnieżone choiny, słyszała dzwonki sanek. Będą ładne święta – pomyślała. Cieszyła się na spotkanie brata. Nie widziała go od ponad roku. Jej ukochany braciszek przyjeżdża z narzeczoną. Najwyższy czas, żeby się ożenił.

– Babciu, babciu! Idą! – Pięcioletnia Agusia wpadła do kuchni nanosząc śniegu – wujek z taką panią.

Helenka była wzruszona serdecznym powitaniem. Uściskały się z Ewą i Ksenią, jej córką. Mała Agusia z rozpędem rzuciła się na szyję o mało nie wywracając Helenki. A Antek, mąż Ewy ogromny, zwalisty Góral z pogodną twarzą stwierdził, że Jan nie zasługuje na taką piękno babe.

– Też się dziwię, że mnie chciała.

Okazało się, że Antek jest nauczycielem w gimnazjum i uczy języka polskiego. Lubi czasem wtrącić coś po góralsku. Ewa nigdy nie pracowała zawodowo.

Po serdecznym powitaniu usiedli przy stole. Kwaśnica na bara-

nie, moskole i kawał mięsa. Nie zabrakło oscypków. Nauczyłam się tutejszej kuchni, ale gotuję też barszcz ukraiński i ruskie pierogi. Tak dla urozmaicenia. Czasem nawet robię bryjkę. Jotyz przecie ślubnego miłujem, na rano i wieczór byjke mu gotujem – zaciągnęła po góralsku.

Po obiedzie Ksenia wniosła sernik i kawę.

– Ewka, po takim sutym obiedzie już nam się nic nie zmieści – zaśmiał się Jan.

– Wszystko było pyszne, a sernik wygląda cudownie – dodała Helenka – ja się nie oprę.

– Widzisz Helenko, my się tu nie odchudzamy. Wystarczy na nas popatrzeć – Ewa poklepała się po brzuchu.

– A ja się odchudzam – stwierdziła Agusia pałaszując drugi, spory kawał sernika – będę chuda, zostanę modelką i zarobię kupę dukdów. A ciocia gdzie mieszka? Z wujkiem?

Helenka uśmiechnęła się do małej.

– Nie. Mieszkam ze swoją mamą.

– To tak jak ja – popiła sernik herbatką malinową – a czemu? Bo nie macie ślubu? A jak będziecie mieć, to zamieszkacie razem? A jak będziecie mieć dzieci to będą moimi kuzynami? Tak jak Mirka? Ona ma kuzynów w Krakowie. Są fajni, ci kuzyni.

– Agusiu, słonko, daj już spokój – wtrącił się Antek.

Popatrzyła z ukosa na ojca.

– No dobra, chciałam wiedzieć. A kiedy będzie wesele?

– Agusiu!

– Udał ci się sernik – zwróciła się do babci i zeskoczyła z krzesła – to ja lecę.

I już jej nie było.

– Byłeś w Łopience – raczej stwierdziła niż zapytała Ewa – ja tam byłam kilka lat temu.

– Nic nie mówiłaś.

– Bo i po co?

– Opowiedz co pamiętasz z tamtej nocy. Mama nie chce wracać do wspomnień.

– Wcale się nie dziwię. Chętnie bym wymazała z pamięci tamten czas, gdyby tak się dało.

Westchnęła i po chwili zaczęła opowiadać.

– Miałam wtedy osiem lat. Pamiętam dobrze tamtą noc – urwała i wpatrywała się w szklankę kawy jakby tam zapisane były jej wspomnienia.

– Obudził nas krzyk mamy „chałupa Drozdów się pali!”. Ojciec się zerwał i wybiegł z domu ratować sąsiadów. Lał deszcz. Pomyślałam, to dobrze, nasza chałupa się nie zajmie. Mama szybko się ubrała, narzuciła chustę i też wybiegła. Nam kazała zostać. Pożar,

ulewa, krzyki ludzi, to trwało wieczność. I nagle zapanowała cisza. Deszcz ustał, pożar ugaszony, ludzie zamilkli. Czuć tylko było swąd spalony. A po chwili weszła mama z zawiniątkiem w chuście.

– To Jaśko. Przeżył. Od dzisiaj to wasz brat. Nie wolno wam inaczej mówić, bo zginiemy wszyscy.

Oczy Ewy się zaszklily.

– Był taki malutki, ledwo żywy – zwróciła się do Helenki – pokochałam go od pierwszej chwili – spojrzała na Jana, położyła dłoń na jego dłoni – tak braciszku. Wszyscy pokochaliśmy ciebie.

A potem – zaczęła znowu wspomnienia – był strach. Ciągłe płonęły jakieś wsie. Kto się sprzeciwiał bandom ginął nieraz w strasznych mękach. Myśmy jakoś przetrwali. W czterdziestym siódmym wyjechaliśmy na Zachód, na Ziemię Odzyskaną.

Opuściliśmy Łopienkę w 1947 roku. Miałam 11 lat. Niewiele rodzin już zostało we wsi po deportacjach w 1946 do Związku Radzieckiego. Miało to ponoć zakończyć działania UPA. Pomimo wysiedleń zbrojne oddziały band nie zaprzestały walki. Deportowano wtedy z listy ludność Rusińską wyznania grekokatolickiego. Wszyscy w Łopience byliśmy unitami, rodziny mieszane a nawet polskie, jak Drozdowie – spojrzała na Jana – zresztą – dodała po chwili – była tylko ta mała cerkiewka ze świętą ikoną. Do tej pory zastanawiam się, dlaczego nas na tej liście nie było. Tak jak powiedziałam, we wsi zostało kilka rodzin. Jednak nie na długo. 28 kwietnia 1947 roku, dobrze pamiętam tę datę, żołnierze Wojska Polskiego otoczyli wieś. Już wcześniej rozeszły się pogłoski, że będą ludzi wyrzucać z ich własnych domów.

– Jak to? – mówili – mamy iść na poniewierkę? Ruskie nas zostawiły a nasi wyganiają? A jak zabrać cały swój dobytek? Zwierzęta?

Bo dla nas, Bojków, krowy, owce, kozy były żywicielami. Zostawić zasiane pola, kwitnące sady, które zapowiadały urodzaj jabłek. A chałupy? Strach przed niewiadomym rósł z dnia na dzień. Aż rankiem przyszło wojsko. Pierwsza zobaczyła ich stara Fedczykowa.

– Ludzie! Wojsko idzie! Będą mordować!

Strach, który nam towarzyszył od kilku lat teraz się spotęgował. Nikt wcześniej nie widział żołnierzy w mundurach i z karabinami. Przedtem baliśmy się upowców, a teraz?

– Boh pomyłuj! Co to będzie? – Lamentowały kobiety.

– Gospodipomyłuj!

Żołnierze otoczyli wieś. Ten ich najważniejszy wyszedł na przód.

– Macie trzy godziny na spakowanie swojego dobytku. Zostaniecie przewiezieni na stację, a tam pociągiem dalej. Każdy z was dostanie gospodarstwo na Ziemiach Odzyskanych. Zostaniecie

przewiezieni w charakterze osadników rolnych. Nikomu się krzywdą nie stanie – dodał ciszej.

Mama nie straciła głowy. Do kapy wrzuciła to, co było w spiżarni: chleb, słoninę, kaszę, solony ser i mocno zawiązała. Z chlebowego pieca wyciągnęła jeszcze ciepłe bochenki. Nam kazała włożyć kozuchy, te co na zimę. Buntowaliśmy się – przecież jest wiosna, ciepło.

– Wkładajcie, szybko! Szybko!

Ojciec wyprowadził krowę i zarzucił tobolek na plecy. Mama owinęła Jaśka grubą chustą i wzięła go na ręce. Był malutki, miał dopiero 3 latka.

– A Matka Boska? Ikona? – przypominałam sobie w ostatniej chwili i pędem wróciłam do chałupy.

Biedna była ta nasza chyka. Własnymi rękami rodziców zbudowane. Nasza ojcowizna. Opuszczaliśmy nasze kochane góry.

Szliśmy drogą wzdłuż potoku pod eskortą żołnierzy. Za nami zostały zielone łąki żyta i pszenicy, dojrzewające w ogrodach warzywa i obsypane kwiatami drzewa w sadach zapewniające urodzaj.

– Dokąd nas prowadzą?

– Co z nami będzie?

Pytały przerażone kobiety. Mężczyźni szli w milczeniu, zrezygnowani. Małe dzieci płakały, starsze rozglądały się zaniepokojone. Bydło porykiwało. Dziwna to była procesja.

Zeszliśmy w dół do szosy. Tam czekały na nas ogromne auta. Teraz to wydaje się śmieszne, ale my, dzieci, nigdy aut nie widzieliśmy, ani tego jakiegoś pociągu.

Na pociąg czekaliśmy całą noc. Wreszcie podstawiono wagony. Takie w jakich wozi się bydło. Rozległy się wrzaski.

– Wsiadać! Ruszać się!

Trzymałam się kurczowo mamy.

– To jest pociąg?

Chłopcy rozglądali się z obawą, ale i z ciekawością.

Wsadzono nas do wagonów razem ze zwierzętami. Jechaliśmy kilka dni i nikt nie wiedział dokąd nas wiozą. Brakowało wody. Dzieci płakały, kobiety się modliły, a zwierzęta ryczały. W końcu dojechaliśmy do jakiejś małej miejscowości. Wszędzie były ruiny, wojna nie ominęła tego zakątka ziemi. Patrzyliśmy z przerażeniem, jak tu żyć? Gdzie mieszkać? W końcu przydzielono nam zrujnowaną chatę. Bez drzwi, bez okien. Nie było ani jednego sprzętu. Stołu, łóżka. Nic. Ale znaleźli się dobrzy ludzie. Polacy, przesiedleńcy z Kresów. Przytaszczyli jakieś łóżka, jakieś krzesła. No i zaczęliśmy układać życie na nowo.

Po wspomnieniach Ewy długo siedzieli wszyscy w milczeniu. Wreszcie Ksenia, córka Ewy przerwała milczenie.

– Ale już bandy UPA wam nie zagrażały.

– Tak, chociaż jeszcze długo budziłam się w nocy z krzykiem, że wieś płonie, że idą z siekierami na nas. A tutaj, w szkole, wołali za mną Ukrainka! Ruska! Wracaj do swoich! Po jakimś czasie się uspokoiło. Wtopiliśmy się w tamtejszą społeczność. Wyzbyłam się akcentu. W liceum już nikt się nawet nie domyślał mego pochodzenia.

A potem poznałam Antka i wróciłam w góry.

Granica polsko–radziecka, kwiecień 1985 rok

Pociąg szarpnął i stanął. Mężczyzna się obudził i spojrzął na zegarek. 6.10. Byli na granicy.

– Dokumenty do kontroli!

Do przedziału wszedł pogramicznik.

Mężczyzna niedbałym ruchem wyciągnął papiery i podał funkcjonariuszowi.

– O, pan już trzeci raz do Polski? – popatrzył podejrzliwie – pana bagaże?

Nikita bez słowa ściągnął walizkę z półki.

– Co pan wiezie?

– Eta mai licznyje wieszci i podarok dla syna siostry.

– Często pan jeździ...

– Wot, depesza. Mój otecumier.

– Ach, tak? – pobieżnie przejrzał zawartość walizki, zasalutował i wyszedł.

Podróżnych czekało kilka godzin na granicy. Nikita poczuł jak wagon się unosi. Wstał, żeby rozprostować kości. Otworzył okno. Nikt nie protestował. Do wagonu wpadło świeże, chłodne powietrze. Wyraźnie też było słycać szcęk przesuwanego podwozia i głośne rozmowy kolejarzy. Wreszcie pociąg ruszył. Patrzył na mijane łąki pokryte delikatną zielenią. Przed nim było jeszcze kilka godzin podróży.

Szczecin, kwiecień 1985 rok

Do Szczecina przyjechał pod wieczór. W domu panowała cisza. Wszyscy siedzieli przy stole. Na jego widok tylko siostra się podniosła. Podeszedł do matki i ucałował jej ręce. Dziesięcioletni syn siostry podbiegł do niego.

– Wujku, co masz dla mnie?

Babcia ostrym spojrzeniem skarciła chłopca, ale ten się nie przejął.

– Łunochod na baterie. Tylko go rozpakuj – powiedział łamaną polszczyzną.

– Siostra do szklanki naląła wódki, a po chwili z kuchni przyniosła parujący talerz bigosu – dobrze, że już jesteś.

– Ojciec coś mówił zanim... – głos uwiązł mu w gardle. Jednym haustem opróżnił zawartość szklanki.

– A mówił, mówił – odezwał się z kąta młodszy brat – trzeba zakończyć sprawę Wasyla. I ty to zrobisz. Ty nie stąd. Nikt cię nie zna. Wyjedziesz, nie będą cię szukać.

– Tak mój synu, żeby nie ten zdrajca Wasyl, ojciec nie trafił by do Jaworzna, nie stracił zdrowia. Żył by jeszcze. Pomsta to twój obowjżak!

– I komandira by nie powiesili – dodał brat – a teraz słuchaj, wiemy gdzie jest, namierzaliśmy go bez trudu. Pojedziesz tam i załatwisz sprawę do końca.

– Skąd wiadomo gdzie jest?

– Nasi są wszędzie. Dużo wiedzą i dużo mogą – napęlił szklankę – za Samoistną Ukrainę!

– Za Ukrainę!

Warszawa, maj 1985 rok

Porucznik Marek Liniewski nerwowo krążył po swoim gabinecie. Śmierć obywatela Związku Radzieckiego nie dawała mu spokoju. Od kilku dni nie ruszyli z miejsca. Tak, to już ponad tydzień, jak grupa autostopowiczów znalazła pod Warszawą zwłoki mężczyzny. Zajrzał do materiałów rozłożonych na biurku. Nikita Abramow, lat 58, wzrost 190 cm, cztery rany klute, równoległe w odległości 4 cm. Prawdopodobnie widły. Postawny, zdrowy, trzeźwy, tak stało w raporcie ze sekcji. Musiał go ktoś zaskoczyć. Sam przecież się nie nadział. Poszukiwania sprawcy bez rezultatu. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Spojrzął na zegarek. Dochodziła 18.

– Cholera!

Szybkim ruchem wsunął papiery do szuflady. Zamknął gabinet, zbiegł po schodach i wszedł do swojego wysłużonego malucha. Umówiony był na kolację. Żona przyjaciela, Zosia miała dzisiaj imieniny i jak co roku zaproszonych było kilka osób. Wprawdzie po odejściu żony kontakt na jakiś czas się urwał, ale od roku znowu zaczął spotykać się z ludźmi. Żona, już teraz była, zabrała kota i odeszła z jakimś doktorkiem psychiatrą.

Wpadł do domu, przecież nie pójdzie na imieniny w mundurze. Po drodze kupił kwiaty, piękny, wiosenny bukiet i dodatkowo jedną różę. Miał cichą nadzieję, że spotka Wandę. Wanda z Zosią przyjaźniły się od czasu wojny. Przemierzyły całe Indie. Zosia, kilka lat starsza od Wandy traktowała ją jak siostrę. Po wojnie obie trafiły do babci Zosi do Wrocławia. Po śmierci babci wyprowadziła się z mężem do Warszawy. Wanda została we Wrocławiu. Przyjaźniły się nadal i często odwiedzały.

Był piękny majowy wieczór. Porucznik odetchnął pełną pierś i pomyślał, że sprawy służbowe mogą poczekać.

Byli już wszyscy. Wanda siedziała na fotelu i sączyła czerwone wino. Zosia częstowała kanapkami.

– O Marek! Nareszcie. Jaki piękny bukiet.

– Wszystkiego najlepszego Zosiu. Wyglądasz jak zwykle uroczko.

Po obowiązkowych uprzejmościach przysiadł się do Wandy.

– Miałem nadzieję, że panią tu spotkam.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale gospodarz domu nie pozwolił.

– Jak się czują nasi przestępcy? Jakaś nowa zbrodnia do wykrycia?

– Żebyś wiedział. Facet został nadziany na widły, a w dodatku ruski.

– To musisz się spieszyć z wykryciem sprawcy. Bracia Rosjana nie popuszczą.

Porucznik westchnął i zwrócił się w stronę Wandy. Reszta towarzystwa zaczęła się zastanawiać, czy to chodzi o przemyt, a może to członek mafii?

– Wandziu, pozwoli pani, że tak się będę zwracał, mogę po przyjęciu cię odwiedzić?

– Ale ja nocuję u Zosi.

– W takim razie proszę zaczekać.

Po chwili wrócił z różą.

– To dla ciebie kwiatuszek.

– Ładny kwiatuszek – roześmiała się – ma chyba z pół metra.

Liniewski był z siebie zadowolony. Wanda wpadła mu w oko od pierwszego momentu, gdy ją zobaczył. Taak, wspomniął z rozrzwinięciem, przyszedł do Zosi na imieniny razem z żoną. Zaczęło już się między nimi psuć. Właściwie, to nigdy nie układało się tak jak trzeba. Podobno ciężko być żoną milicjanta, a on tak się starał. Bywało, że kosztem służby. Nie doceniła tego. Wołała jakiegoś świra. Bo przecież każdy psychiatra w końcu zeświruje. To pewne, jak w banku. Porucznik był o tym święcie przekonany. Wtedy żona zechce do niego wrócić, ale on będzie już z Wandzią. Tak wtedy pomyślał i teraz zaczął działać. Dlatego ten „ładny kwiatuszek”.

Wrocław, maj 1985 rok

Pachniało kawą i świeżo upieczonym ciastem. Mieszkanie było małe i przez to przytulne. Urządzone skromnie ale ze starannością, dbałością o szczegóły. Pokój, w którym siedzieli był w tonacji brązów i beżów. Jego ulubione kolory. Jasnożółte zasłony dodawały pokojowi słonecznego blasku.

Jan czuł się tu dobrze. Taki spokój. W jego rodzinnym domu nigdy nie było spokoju. Dzieciaki hałasowały, matka krzątając się postukiwała garnkami. Ojciec tubalnym głosem upominał synów i dawał mądre przestrogi jedynej córce. I nagle zateśknął za swoim domem, za dzieciństwem. Pomimo wielu niepowodzeń i przykrości jakie go spotykały było wspaniale. Latem za oknem szumiały topole, nie wiadomo kiedy i przez kogo posadzone. Śpiewały ptaki. Na dachu położyli z ojcem stare koło i bocki zrobiły tam gniazdo. Przylatywały co roku i wychowywały pisklęta. Pewnego roku, miał chyba wtedy dwanaście albo trzynaście lat jedno pisklę zostało z gniazda wyrzucone. Było najstabsze, dlaczego więc miało odbierać jedzenie tym silnym? Wyrzucili biedaka, a Jan się nim zaopiekował. Odkarmił. Nauczył latać. Bocian zamieszkał w stodole. Po podwórku chodził razem z kurami. Był lepszy od psa. Obcego nie wpuścił. Nieraz sąsiadki zza płotu wołały *Małyniakowa, a zamknijcie no tego boćka bandytę, bo wejść nie daje!*

– Na jaki temat milczysz? – Helenka wniosła filiżanki z kawą i uśmiechnęła się do zamyślnego Jana.

– Wspominałem dzieciństwo.

Wanda krzątała się w kuchni. Po chwili weszła z tacą sernika.

– To dzieło Helenki.

– Przepis mam od twojej siostry.

Siedzieli przy stole. W telewizorze migały jakieś obrazy. Nagle pojawiła się na ekranie twarz mężczyzny i krótka informacja. Znalaziono zwłoki Nikity Abramowa. Kto miałby o nim jakieś informacje proszony jest o zgłoszenie się do komendy stołecznej.

– O, to chyba o nim mówił u Zosi porucznik. Mówił też, że to obywatel Związku Radzieckiego – Wanda nałożyła sobie spory kawał sernika – mówił też – dodała – że jak szybko nie rozwikła tej sprawy, to będą kłopoty.

– Abramow? – Jan się zastanowił – Nikita Abramow? Helenko czy nie takie nazwisko mówiła ta kobieta w Cisnej? To nie u nich ukrywał się ten upowiec?

– Tak, na pewno.

– Nikita Abramow? Zniknął w czterdziestym siódmym, a teraz pojawił się jako nieboszczyk. Czy może mieć coś wspólnego z Wasylem? Chyba nie, tyle lat po wojnie? Chociaż? Ten Wasyl doniósł na milicję, że ukrywa się u nich, jak ta kobieta mówiła? Komandir.

Szczecin, maj 1985 rok

– Mamo! Mamo! Wujek w telewizorze!

Anastazja Berdaj weszła do pokoju.

– Co się tak wydierasz?

Chciała jeszcze pokrzywić na dziesięciolatka, że zawraca głowę, a ona ma przecież tyle garów do mycia. Weszła do pokoju i zaniemówiła. Twarz Nikity wypełniała cały ekran i znikła. Komunikatu już nie usłyszała. Zrobiło się jej gorąco i o mało co nie wypuściła z ręki wycieranej akurat szklanki. Czyżby go złapali?

– Co mówili, jak pokazali wujka?

– Nooo – mały się zastanowił – kto go widział ostatnio. Chyba.

Usiadła na wersalce i patrzyła w ekran. Może powtórzą? Zaczął się jakiś serial. Na pewno powtórzą przy wieczornych wiadomościach, pomyślała.

– Biegnij po wujka Igora, a ja idę do babci.

Zebrawi się wszyscy w pokoju babki Abramow. Okazało się, że Igor widział i słyszał to, co w telewizji. Nie mógł jednak uwierzyć.

– Powiedzieli, że Nikita nie żyje. Szukają kogoś, kto widział go ostatni raz.

W ciszy jaka zapadła głos babki Abramow zazgrzytał nieprzyjemnie.

– Dureń! Dał się zabić Kawułyńczowi? Temu niedorajdzie?

– Skąd wiesz, że zabity? Tego nie powiedzieli.

– A co? – wychrypiła babka – niby tak sobie wziął i umarł? Zabity. Ja to wiem.

Wszyscy popatrzyli na babkę z niedowierzaniem.

– Zabity?

– Zabity! Zabity!

Nikt nie śmiał zaprzeczyć. Przecież babka zawsze wiedziała wszystko najlepiej. Mimo podeszłego wieku ona decydowała o wszystkim. Jak w sycylijskiej mafiiburczą pod nosem mąż Anastazji, ale też się podporządkował.

– Gdzie trzeba się zgłosić?

Stara nie zastanawiała się długo.

– Mówili – Igor był ze wszystkich najbardziej przejęty. Starszy brat był dla niego wzorem i marzył, że zabierze go kiedyś do siebie, że będzie mógł wyjechać z tego kraju wrogów. Tak Nikita zawsze mówił. Kraj wrogów i Igor mu wierzył.

– Mówili – powtórzył, żeby się zgłosić do Komendy Głównej Miasta stołecznego Warszawy.

– Anastazja pojedzie. Sama. Wystarczy jak zgłosi się tylko siostra. Zrozpaczona siostra. A ty słuchaj uważnie – zwróciła się do córki – co te milicjanci mówią. Co wiedzą?

Nie było dyskusji. Anastazja miała pociąg następnego dnia wcześniej rano.

Warszawa, maj 1985 rok

Tymczasem pod Warszawą przeszukiwano okolice Józefowa. Przesłuchano autostopowiczów.

– To było okropne – roztrzęsiona dwudziestolatka nie mogła zapanować nad drżeniem rąk. Z trudem utrzymała szklankę wody podaną przez milicjanta – chłopaki stali na drodze, a ja z Grażyną chciałyśmy trochę odpocząć, no weszłyśmy w te krzaki, a tam leży człowiek. Grażyna zaczęła krzyczeć, bo mnie zamurowało. Głosu nie mogłam z siebie wydobyć. To było okropne – powtórzyła – facet leżał na wznak a tu – pokazała w okolice brzucha jedna krwawa plama.

Jeden z autostopowiczów był na tyle rozsądny, że nie pozwolił zbliżyć się do leżącego. Pulsu – jak twierdził – nie było co sprawdzać, bo widać na oko, że człowiek nie żyje.

Według wezwanego na miejsce lekarza biegłego sądowego ciało leżało w krzakach kilka dni.

W rozmięklej po deszczu drodze, która prowadziła do miejsca znalezienia zwłok wyraźnie odbiły się ślady opon dużego samochodu. Nieco mniejsze ślady wskazywać mogły na niewielką przyczepę. To, że zwłoki były tu przywiezione, nie wzbudzało żadnych wątpliwości.

Szczyście, pomyślał porucznik oglądając to miejsce, że wtedy padało, a teraz ziemia wyschła i ślady są jak na dłoni. Książkowy przykład. Technicy sprawnie wzięli się do zabezpieczenia śladów. Zrobili, jak zwykle, mnóstwo zdjęć i gipsowe odlewy opon. To już coś. Jest jakiś trop. Gorzej było z odciskami butów. Te były zatarte przez autostopowiczów. Po dłuższych oględzinach, porównywniach natrafiono na odcisk jaki mógł zostawić duży gumowy but.

– Takich gumofilców nie miał żaden z tych dzieciaków.

Technik wskazał palcem na swoje odkrycie. Była już wbita przy nim tabliczka z kolejnym numerkiem.

– To już coś – powtórzył Liniewski tym razem głośno – ale ciągle mało. A w trawie nic ciekawego?

– Ciągle szukamy.

Weszli ostrożnie w krzaki patrząc pod nogi. Zwłoki były już zabrane. Miejsce gdzie leżały obfotografowano i ogrodzono. Żadnej wskazówki, tylko kilka złamanych gałęzi.

Czekała ich ciężka praca.

Kilka dni śledztwa. Odwiedzanie okolicznych gospodarstw. Szukania narzędzia zbrodni i samochodu. Bez rezultatu.

Badania laboratoryjne wykazały, że rany były zanieczyszczone końskim nawozem. A więc morderca ma konia albo konie. W okolicznych gospodarstwach były widły, były konie ale nikt nie miał samochodu z przyczepą.

Denata ktoś przywiózł. Mógł przyjechać nawet z drugiego końca Polski.

– Sierżancie – zwrócił się do Markiewicza – pojeździecie po okolicy, popytacie. Zahaczcie o stacje benzynowe. To mogła być przyczepa jaką wozi się konie. Nie wielka ale dość wysoka. Charakterystyczna. Może ktoś zauważył.

Sierżant westchnął po cichu. Nie cierpiał pracy w terenie i rozmowy z ludźmi. Był nietypowym milicjantem, daleko mu było do Borewicza z „07 zgłoś się”, wołał wypełniać papierki. Koledzy więc często to wykorzystywali śmiejąc się za jego plecami.

Rozmyślenia Liniewskiego na koński temat przerwał sierżant.

– Jakaś kobieta w sprawie denata.

Porucznik spiorunował podwładnego wzrokiem ale nie zdążył nic powiedzieć o jego nietakcie. Do gabinetu weszła postawna elegancka kobieta na oko koło pięćdziesiątki.

– Anastazja Berdaj – przedstawiła się – jestem siostrą Nikity Abramowa – i podała dowód osobisty.

– Proszę usiąść – wskazał krzesło naprzeciwko siebie i skinął ręką na sierżanta – notuj.

– Pani mieszka w Szczecinie – czytał dane z dowodu – kiedy widziała pani brata ostatni raz?

– Brat był u nas w kwietniu. Wyjechał od razu po pogrzebie ojca. Na pogrzeb przyjechał. Brat mieszka we Lwowie. W Szczecinie mieszkamy od 1947. Brat został w ZSRR. Rozdzielono nas...

– zawahała się – to znaczy w 47 my przenieśliśmy się z naszej wsi do Szczecina.

– Nie martwiła się pani o brata?

– Wyjechał do domu. Co się miałam martwić? Skąd mogłam wiedzieć...?

Dyskretnie wierzchem dłoni otarła łzę.

To kobieta, która nie poddaje się nastrojom, a przynajmniej nie chce ich okazywać – pomyślał a głośno zapytał.

– Często przyjeżdża?

– Nie często. Jak dla mnie za rzadko. Mama też chciałaby go częściej widzieć.

– Brat po przyjeździe do domu nigdy się nie odzywał?

– Niby jak? Z zagranicy?

Popatrzyła na niego zaskoczona.

– No, tak. Co mógł brat robić w Warszawie? Ma tam znajomych?

– Nie wiem. Może z Warszawy miał pociąg? Znajomych żadnych w Polsce nie ma.

– Może ma jakiś wrogów w Polsce.

– Żadnych znajomych tu nie ma, to i wrogów mieć nie może – odpowiedziała dość nerwowo, prawie ze złością.

Liniewski popatrzył na nią uważnie. Coś ukrywa.

– Dziękuję pani. Proszę jeszcze tylko podpisać – wskazała ręką w stronę sierżanta – i może pani wracać do Szczecina.

Rozmowa z Anastazją nie posunęła śledztwa ani o krok. Dalej nie wiedział kto i dlaczego zamordował Nikitę Abramowa.

Gdzie jeszcze są konie? Zaczął zastanawiać się porucznik. Przeszukania prywatnych gospodarstw nic nie dały. Nie trzeba było długo czekać. Informacja w telewizji przyniosła rezultat. Wprawdzie było kilka bezsensownych telefonów, ale ten wydał się porucznikowi prawdziwy. Dzwoniła kobieta pracująca w stadninie koni. Sam przecież się zastanawiał gdzie są konie. Dużo koni, cała stadnina. Tak, to mogła być prawdziwa informacja. Janów Podlaski.

– Szeffie ale to kawał drogi.

– Zwłoki zostały przewiezione samochodem. Mogły przyjechać z Janowa. Jedziemy!

Co miał robić..... Szef każe, kierowca musi. Pojechali.

Janów Podlaski, maj 1985 rok

Jechali ponad trzy godziny. Wreszcie dotarli do miejscowości Wygoda położonej wśród bujnych nadbużańskich łąk, oddalonej od Janowa o 2 kilometry. Stadnina obejmowała ogromne przestrzenie.

– To raj dla koni – zachwycił się sierżant.

Z daleka zobaczyli rozległy XIX wieczny budynek stajni Państwowego Gospodarstwa Rolnego. Podjechali pod zabudowania dyrekcji. Milicyjny samochód, z którego wysiedli dwaj funkcjonariusze w mundurach wzbudził zainteresowanie osób kręcących się przy stajni. Bez trudu odnaleźli sekretariat.

– Dyrektor u siebie?

– Tak, proszę poczekać.

Niewysoka trzydziestolatka zadrżała do gabinetu. Po chwili wyszedł dyrektor Stadniny. Był wyraźnie zaskoczony wizytą milicji.

– Dostaliśmy informację, że tutaj widziano zamordowanego Nikitę Abramowa. Sprawdzamy wszystkie ślady. Informacja była na tyle prawdopodobna, że przyjechaliśmy. Chyba nie będzie miał pan nic przeciwko temu jak porozmawiamy z załogą? Sprawdzimy samochody. Macie tu chyba jakieś dostawcze wozy? Przyczepy na konie?

– Podejrzewacie, że u nas kryje się morderca? Tak, oczywiście, mamy dostawcze samochody, przyczepy na konie, traktory... Ale nie widzę związku. A skąd ta informacja?

Liniewski nie lubił się tłumaczyć, doszedł jednak do wniosku, że bez nakazu tylko uprzejmością osiągnie coś u dyrektora nastawionego bojowo.

- Tak jak mówiłem telefonowała do nas osoba ze stadniny.
- To ja dzwoniłam.

Typowa sekretarka – pomyślał porucznik – elegancki kostiumik, nienaganna fryzura. Jakoś nie pasuje do tego miejsca.

– Pani Stefania Rudzik, prowadzi sekretariat – przedstawił ją dyrektor.

– Widziałam tego człowieka. Zagadnął mnie o jakiegoś Wasyla, nazwiska nie pamiętam. Mówił tak dziwnie. Ni to po polsku, ni to po rosyjsku. Złapał mnie za ramię. „Wiem, że tu jest” powiedział. Wystraszyłam się. Był taki wielki, miał chyba ze dwa metry. A potem zobaczyłam w telewizji ten program. To zadzwoniłam.

- Czy ktoś go jeszcze widział?
- Nic o tym nie wiem, a pani mogła mnie uprzedzić.
- Przepraszam – sekretarka nerwowo naciągnęła żakiet – nie wiedziałam, że to pana zainteresuje.
- Wszystko, co tu się dzieje mnie interesuje – zwrócił się do sekretarki, a do porucznika – z obsługą możecie panowie porozmawiać. Dzisiaj ma dyżur Paweł Pawlik, młody chłopak. Przejdźmy do stajni. Powinien być jeszcze starszy człowiek. Emeryt, pracuje u nas na $\frac{3}{4}$ etatu.

Weszli do dużego pomieszczenia. W boksach stały konie, niektóre spokojnie, inne rżały na widok przybyłych.

Roman siedział w boksie i wpatrywał się w małego żrebaka. Jego ulubiona klacz Rozalia ledwo przeżyła ten poród. Kochał konie. Od zawsze. Jak był dzieckiem marzył o własnym. Sąsiedzi mieli konia. Często widywał ich córkę, jak o świcie pędzi przez łąki. Zawsze na oklep. Dwa grube złote warkocze podskakiwały na plecach jak dwa olbrzymie węże. Tak mu się zawsze kojarzyło. Była piękna. Maria. Kochał się w niej od lat, a ona wyszła za tego Polaczka. Jego wyśmiała.

– Co? Ja z tobą na tańce? To, co, że odpust? Wybij to sobie z głowy!

Wyszła za tego Polaczka i co rok rodziła mu dzieci. Konno już nie jeździła ale piękna była nadal. Warkocze upinała w koronę.

- Nie ma Marii, nie ma jej męża, nie ma dzieci.
- A on jest. Nie, właściwie to jego już dawno też nie ma.

Poczuł się bardzo stary i samotny. Całe życie uciekał. Bał się własnego cienia.

Z zamyślenia wyrwał go jakiś ruch i głosy. Zaczął nasłuchiwać. Milicja? Tutaj?

– Przychodzi tu taki stary człowiek. Emeryt. Dorabia sobie. Widać, że kocha konie. Ma do nich dobre podejście. Powinien być przy Rozalii.

- Wstał i bezszelestnie wymknął się ze stajni.
- Paweł!
- Z boks wyszedł postawny chłopak około dwudziestki.
- Tak, szefie... Sprzątam u Zefira. Właściciel ma po niego dzisiaj przyjechać.

Oparł się na widłach i spojrzął na milicjantów z zaciekawieniem.

– Co pan robił w nocy z 27 na 28 kwietnia, z soboty na niedzielę? – Porucznik nie bawił się w tłumaczenie o co chodzi.

– Sobota? Niedziela? 27 na 28 kwietnia? – chłopak popatrzył zaskoczony – byłem w domu.

– Czyżby? – funkcjonariusz patrzył na niego badawczo – przypomnij sobie.

- Tak – głos mu się załamał – tak, w domu – dodał niepewnie.
- Nie jeździłeś nigdzie służbowym samochodem?
- Nie – cofnął się o krok – a o co chodzi?

Milicjant zignorował pytanie. Kłamię skurczybyk w żywe oczy. – Sprawdzimy, a inni pracownicy? Mówił pan o jakimś emerycie – zwrócił się do dyrektora. Emeryta nie było.

– Kto jeździ dostawczymi samochodami. Które samochody opuszczały teren z soboty na niedzielę? Macie chyba jakiś harmonogram wyjazdów.

– Sekretarka przygotowuje panom listę wszystkich pracowników i wykaz samochodów, które w tym czasie opuszczały teren.

Siedzieli w skromnie urządzonym sekretariacie. Pani Stefania zaparzyła po turecku trzy kawy i postawiła na biurku. Z szafki wyciągnęła cukier i mleko. Widać było, że z trudem opanowuje drżenie rąk. Nie uszło to uwagi Liniewskiego. Co jest grane? Boi się szefa? Mają coś na sumieniu?

– Z soboty na niedzielę? – pomału zaczęła kartkować grubą księgę – nie, wszystkie maszyny były na miejscu. W sobotę nikt nie wyjeżdżał. – przesunęła palcem po kartce z rubrykami – a nie! Paweł Pawlik, ale odstawił o 17-tej. Odwoził Zefira.

– Mogę zobaczyć dostawcze samochody? – porucznik zwrócił się do dyrektora, który właśnie zajrzał do sekretariatu.

– Oczywiście, ale widzi pan, że my wszystko dokładnie odnotowujemy.

- Stan licznika też?
- Oczywiście.

W aucie, którym jeździł Paweł okazało się, że nabitych było kilometrów o wiele za dużo.

Cholera, nie obejdzie się bez pomocy miejscowych.

Podporucznik Ryszard Zaraś, komendant MO w Janowie siedział w swoim nowym biurze i napawał się nominacją na szefa milicji w Janowie. Od dawna uważał, że należał mu się ten awans jak psu buda. A teraz stukał nowym ołówkiem w nowe biurko i czekał. Na co? Tego nie wiedział ale przecież coś musi się wydarzyć, żeby on podporucznik Ryszard Zaraś mógł się wykazać. W tym momencie zadzwonił telefon. Wyciągnął rękę po słuchawkę ale szybko ją cofnął. Niech ten ktoś poczeka, przecież on jest bardzo, ale to bardzo zajęty. Odebrał po czwartym dzwonku.

– Tak jest poruczniku. Zapraszam do siebie Oczywiście służę pomocą. Cały mój komisariat, szczególnie dobitnie podkreślił mój, jest do pańskiej dyspozycji. Tak. Czekam.

No i coś się zaczyna dziać. Zatarł ręce z zadowoleniem.

Liniewski wszedł do pokoju pachnącego świeżą farbą i środka- mi czystości. Usiadł na wygodnym krześle zaproszony uprzejmym gestem gospodarza.

– Co sprowadza szanownego kolegę ze stolicy na naszą prowincję?

– Nie taka znów prowincja. Janów jest znany na całym świecie ze swoich arabów.

– No właśnie. Arabcy – westchnął Zaraś – a miasto z ludźmi się nie liczy. No nic, musimy się z tym pogodzić.

– Taaa. Na waszym terenie – porucznik przeszedł od razu do sprawy – widziano naszego nieboszczyka. Jeszcze żywego – dodał po chwili.

– O!?

– Chodzi o przesłuchania świadków. Wy znacie tutejsze układy, układziki...

– No, niby tak.

– I żeby moi technicy mogli się porozglądać. Chodzi o stadninę. O samochody, przyczepy i tak dalej.

– Tak, naturalnie. Wszyscy moi ludzie są do waszej dyspozycji.

A w duchu pomyślał, że to on rozwiąże sprawę. Będzie lepszy od tego porucznika z Warszawy. On i jego ludzie. Aż uśmiechnął się do swoich myśli.

Technicy z Warszawy wzięli pod lupę podejrzany samochód. Oglądali, brali odciski palców i jakieś próbki wykładziny z samochodu i przyczepy, oleju, zaglądali w każdą dziurę. Fotografowali.

Szczególnie zainteresowała ich przyczepa, którą Paweł woził Zefira.

– To krew?

Jeden z techników pochylił się nad burą plamką widniejącą na plandecie.

– Możliwe. Bierzemy do analizy.

Dyrektor chodził wokół nich z marsową miną.

– W moim ośrodku? To skandal! Jak to się dostanie do prasy...

– Zmełł w ustach przekleństwo – a niedługo pokaz arabów. Zjadą się potencjalni nabywcy...

Technicy robili swoje bez słowa i wyjechali. Na wyniki trzeba czekać.

– Powiem wszystko – Paweł siedział naprzeciw porucznika. Koledzy z komisariatu w Janowie odstąpili pokój, w którym porucznik spokojnie mógł prowadzić przesłuchanie.

– Tak, wziąłem samochód, ale tylko na godzinę. Słowo. Ilona, to moja narzeczona, przeprowadzała się. Przewiozłem jej meble. Wiem, że dyrektor by nie pozwolił. Zrobiłem góra 20 kilometrów. Nie więcej. Nie wiem skąd nabiło aż 500.

– I odstawiłeś auto z przyczepą do garażu.

– No, nie. Garaże są zamykane na noc. Samochód postawiłem na placu, rano miałem wprowadzić.

– I ?

– I rano auto było w garażu. Pomyślałem, że któryś z kolegów...

– Nic nie zwróciło twojej uwagi?

Porucznik Liniewski wpatrywał się uważnie w rozmówcę.

– Zdziwiłem się, że takie ubłocone. Przecież w sobotę nie padało.

Mówi prawdę. Porucznik po tylu latach pracy wyczuwał kłamstwo na kilometr. Zeznania logiczne.

– Może pan odejść.

Ilona, dziewczyna Pawła, szczupła brunetka z wypiekami na policzkach potwierdziła.

– Tak. Przeprowadzałam się. Niewiele mam rzeczy, ale osobowym bym nie przewiozła. Paweł mówił, że dyrektor się zgodził, i że problemów nie będzie. To tylko jeden kurs. Wieczorem. Potem auto odstawił i przyszedł do mnie. Sąsiedzi widzieli. Sąsiedowi postawił pół litra za pomoc we wnoszeniu szafy.

– Mamy wyniki oględzin auta i przyczepy. Technicy uwinęli się szybko – do gabinetu wszedł komendant miejscowej milicji i usiadł z faksem w ręku na miejscu niedawno przesłuchiwanego.

– W aucie mnóstwo odcisków palców – mówił podekscytowany – samochód jest stale eksploatowany. Jeżdżą nim wszyscy, oprócz dyrektora, sekretarki i tego emeryta. Porównaliśmy odciski z ze-

brany od wszystkich pracowników. Cholerna robota. Co dziwne, auto i przyczepa były dokładnie wyczyszczone kilka dni temu. Od tego czasu naniesiono różne zanieczyszczenia, ale badania potwierdzają nasze przypuszczenia. Znaleziono mikroskopijne ślady krwi. To ta sama grupa co u denata. Bez wątplenia w przyczepie przewożono zwłoki. Porównanie odcisków opon i butów z odlewami zrobionymi na miejscu wyszło pozytywnie. To te same opony. A buty. No, coś są to odciski gumowych butów, jakie noszą tu wszyscy ludzie pracujący przy koniach.

Komendant był bardzo z siebie zadowolony. To przecież jego ludzie odwalili najgorszą robotę. Porównywali odciski palców wszystkich pracowników stadniny. Doprowadzali świadków. I w ogóle bez niego śledztwo utknęłoby w martwym punkcie.

Liniewski z trudem się opanował. W miarę delikatnie wyjął z rąk podporucznika faks i przebiegł oczami tekst. Zarsął dokładnie mu streścił informacje w nim zawarte. Czytał skurczybyk, a faks zaadresowany jest wyraźnie do mnie.

– Eugeniusz Myrdo. Lat 23. Pracownik stadniny w Janowie. Zgadza się?

Myrdo skinął głową.

– Proszę odpowiedzieć. Musimy zaprotokołować.

– Zgadza się.

– Co pan robił z soboty na niedzielę 27 na 28 kwietnia?

– Byłem na weselu siostry – nerwowo zaczął trześć policzek – mam świadków. Ze sto osób albo więcej. Cały czas tam byłem.

– Kiedy ostatni raz pan jeździł służbowym dostawczym samochodem?

– Noo – zawahał się – dawno. Tydzień temu albo dwa. Nie pamiętam.

– Sprawdźmy.

– Nazwisko, imię?

– Waldemar Piątek.

– Lat?

– Trzydzieści

– Mieszkaniec wsi Wygoda?

– Tak.

Szczupły, niewysoki mężczyzna usiadł na brzegu krzesła i nerwowo tarł dłonie.

– Pamięta pan, co robił 27 na 28 kwietnia?

– Akurat pamiętam – odgarnął włosy z czoła – byłem na weselu kuzyna. Zabawa była do rana. Potem się przespałem, a w niedzielę były poprawiny.

– Jeździ pan samochodem marki żuk?

– Ano jeżdżę, jak trzeba. Ale częściej ciągnikiem. Jak trzeba wywieźć gnój ze stajni albo coś.

– Nie opuszczał pan wesela w nocy?

Znowu nerwowo potarł dłonie.

– No może na chwilę.

– Gdzie pan poszedł?

– Niedaleko, do pokoju na piętrze. W domu weselnym jest kilka takich pokoi.

– Sam?

– No, nie sam.

– Imię, nazwisko.

Podał z ociąganiem. Sierżant zanotował.

– Sprawdźmy.

Komisarz westchnął.

– To już piąta osoba z wesela, czy ktoś tam nie był?

– Ja nie byłem.

Do pokoju przesłuchań, bez pukania wszedł energicznym krokiem wysoki mężczyzna około sześćdziesiątki. Gęsta siwa czupryna kontrastowała z opaloną twarzą. Koszula i bryczesy w kolorze khaki. Wysokie skórzane buty.

– Teraz chyba moja kolej na przesłuchanie. Jan Zajdel. Prowadzę naukę jeździectwa.

Zajął wolne miejsce obok komendanta nie czekając na zaproszenie.

– Na weselu nie byłem, nie jestem z tej wsi, a z jej mieszkańcami nie jestem zaprzyjaźniony – uśmiechnął się kwaśno – dla nich jestem obcy. Czasowo zajmuję pokój gościnny nad biurami.

Komisarz nie przerywał. Na zadawanie pytań będzie jeszcze czas.

– Wstaję wcześniej. Przed pracą lubię pobiegać. Wypijam kawę i wychodzę. W niedzielę, 28, bo o to chyba pan chciał pytać, stanąłem z kubkiem kawy przy oknie i spojrzałem na dziedziniec. Widziałem jak jeden z pracowników stajni wprowadza do garażu samochód. Zdziwiłem się, że tak wcześniej rano gdzieś jeździł.

– Czy wie pan kto to był?

– Niestety, nie rozpoznałem. Zastanowiło mnie tylko, że przyszedł do pracy w białej koszuli i czarnych spodniach. Tutaj wszyscy chodzą w roboczych ubraniach.

– Czy mogło to wyglądać jakby zdjął marynarkę od garnituru?

– Jak najbardziej. Teraz nawet mi się wydaje, że z garażu wyszedł z marynarką na rękę.

Liniewski spojrzął na zegarek. Za pół godziny umówiony był z dyrektorem Remigiuszem Zalewskim. Czuł, że będzie to trudna rozmowa. Od początku dyrektor nie krył swego niezadowolenia z całej sytuacji. Porucznik słyszał jak dawał reprimendę sekretarce za telefon na milicję. Czyżby miał coś na sumieniu? Zapalił papierosa i dopił zimną już kawę. Był zły i głodny. Od rana przesłuchiwał pracowników. Wszyscy mieli jakieś wytłumaczenie. Koledzy z Janowa sprawdzali ich wiarygodność. Zobaczmy co z tego wyjdzie, westchnął. W tym momencie wszedł sierżant.

– Co jest?

– Panie poruczniku zgłosiła się Stefania

– Prosić!

– Chciałam powiedzieć – Stefania zawahała się – dyrektor wyjechał w sobotę i wrócił dopiero po święcie. To znaczy 2 maja.

– Jeździł tym samochodem? – Na „tym” porucznik postawił specjalny akcent.

– Nie, skąd. Swoim. Prywatnym – nerwowo zaczęła zacierać dłonie – to tyle chciałam powiedzieć.

– Jest pani tego pewna?

Liniewski patrzył na jej lekko zarumienioną twarz i nerwowe ruchy. Coś tu jest na rzeczy. Czyżby to, co przypuszczam?

– Tak, bo ja..., bo my..., no wie pan...

A jednak, pomyślał.

– Przyszedł dyrektor – sierżant służbowo zameldował.

– Prosić!

Sekretarka odwróciła się na pięcie i prawie zderzyła z wchodzącym. Popatrzył na nią ze złością ale nic nie powiedział.

– Przesłuchaliśmy wszystkich i wszyscy mają alibi – zaczął porucznik i gestem wskazał krzesło – zostaje tylko ten jakiś emeryt – porucznik zerknął na spis pracowników – Roman Piotrowski.

– To starszy człowiek ale ma dobre podejście do koni. Od wczoraj go jednak nikt nie widział.

– A pan, panie dyrektorze, gdzie był w czasie tego nieszczęśliwego weekendu?

Zalewski zesztywniał – pan mnie podejrzewa? To oburzające!

– Nikogo nie podejrzewam. Chcę mieć jasny obraz sytuacji. Jeżeli pan był na terenie, mógł coś zobaczyć, co wtedy nie wydawało się podejrzanym a jednak może mieć jakiś związek ze sprawą – Liniewski z trudem się opanował. Ten bufon działał mu na nerwy od pierwszego wejrzenia.

– Nie było mnie w stadninie. Wyjeżdżałem.

– Dokąd, jeśli można zapytać.

– To moja prywatna sprawa.

– Ma pan świadków? Może żona potwierdzi?

Przesłuchiwany poczerwieniał.

– Żona pojechała do rodziny na kilka dni... O moim wyjeździe nie wie – dodał po chwili.

Wrocław, kwiecień 1985 rok

Dzień był wyjątkowo pochmurny jak na tę porę roku. Zaczęła padać deszcz i zanosilo się na burzę. Co robić w taki smutny dzień. Helenka dopiła kawę. – Wezmę się wreszcie za porządky na pawlaczu. – Przyniosła taboret, położyła na nim dwa grube atlasy i weszła na tę piramidę. Zaczęła wyciągać co tam było. Jakieś stare torby, zniszczony koc, niemodne ciuchy. Na co to komu? Żeby sięgnąć głębiej stanęła na palcach. Jedną ręką przytrzymała się framugi drzwi, drugą próbowała sięgnąć w głąb pawlacza. Wyczuła jakieś pudła. Szarpnęła. Albumy osunęły się i jak długa upadła na podłogę a na nią tekturowe pudełka po butach. Wysypały się z nich korale, zasuszony bukietek i zdjęcia. Jedną ręką zaczęła rozcierać bolące kolano, a drugą przekładać fotografie. Legitymacja? Roman Piotrowski. To ojca! Szepnęła sama do siebie. Przedwojenna. Szkolna. Szkoda, że zdjęcia takie niewyraźne. Wanda nigdy nie pokazywała jego zdjęcia. Mówiła, że nie lubił się fotografować. Rzeczywiście, zdjęcia były z różnych wycieczek, nad morzem, w górach, ale na żadnym nie było ojca. Z poźółkłej koperty wypadło zdjęcie jakieś robi się do dowodu osobistego. Rok 1954. Helenka z biciem serca przyglądała się biało-czarnej fotografii. Zapomniała nawet o bolącym kolanie.

Więc tak wyglądał mój ojciec. Ciekawe gdzie on jest? Mama mówiła, że był cichy, spokojny, bał się ludzi. Ukrywał się po wojnie, bo działał w AK. Ale przecież teraz mógł wrócić. Czemu do nas nie wrócił? Muszę go odnaleźć i zadać to pytanie.

Wsunęła do kieszeni spodni legitymację i zdjęcie i wróciła do porządkowania pawlacza, zastanawiając się jednocześnie od czego zacząć poszukiwania. Trzeba przejrzeć książki telefoniczne. Najpierw Wrocław, potem Warszawa, a potem się zobaczy.

– Czego właściwie pani szuka? – Urzędniczka na poczcie zainteresowała się – może pomóc?

– Nie, dziękuję – i dalej, z wypiekami na policzkach spisywała numery telefonów i ulice z nazwiskiem Piotrowski.

Warszawa, maj 1985 rok

Z bijącym sercem stanęła pod drzwiami kolejnego warszawskiego mieszkania. Było to już piąte mieszkanie warszawskie jakie znalazła w książce telefonicznej. Kilka mieszkań we Wrocławiu było pomyłką.

M. i R. Piotrowscy.

Zapukała. Otworzyła jej kobieta około czterdziestki. Szczupła, wysoka blondyna.

– Czy zastałam pana Romana Piotrowskiego?

Kobieta popatrzyła na nią zdziwiona.

– Ojciec od pięciu lat nie żyje.

– Nie żyje?

Tego się nie spodziewała. Informacja ją zaskoczyła i rozczarowała. Nie wiedziała co powiedzieć.

– O co chodzi? – Kobieta patrzyła na nią badawczo.

– Czy... – zawahała się – możemy porozmawiać?

– Proszę – kobieta odsunęła się od drzwi i wpuściła Helenkę do środka, wyraźnie zaintrygowana niespodziewanym gościem – bardzo pani pobladła, proszę usiąść, może wody?

– Wody? Tak proszę.

Usiadły przy ławie w przytulnym pokoiku.

– Bo ja... Nie wiem od czego zacząć...

Po chwili milczenia Helenka zaczęła niepewnie.

– Bo ja szukam ojca. Zaginął w 1955 roku. Roman Piotrowski.

– Taak? To chyba pomyłka. Zbieżność nazwisk. Rodzice pobrali się od razu po wojnie. W 55 miałam prawie 10 lat.

– Nie mam pamiętek po ojcu, tylko ta legitymacja.

Położyła na ławie podniszczony dokument. Kobieta długo patrzyła na zdjęcie.

– Tak, to ojciec. Wszystko się zgadza. Miejsce urodzenia, data. O, mama wróciła.

Do pokoju weszła zadbana, energiczna kobieta. Po wysłuchaniu córki spojrzała na legitymację.

– Tak, tylko Roman cały czas był z nami, a Pani mówi, że jest z Wrocławia? Nie, to niemożliwie. Nigdy tam nie jeździł. Ma pani jakieś późniejsze zdjęcia?

– Tylko jedno, z pięćdziesiątego czwartego roku.

Obie kobiety spojrzały na zdjęcie.

– Nie, to nie Roman. Martusiu przynieś zdjęcia ojca.

Po chwili wszystkie pochylały się nad albumem.

– To jest Roman.

Ze zdjęcia uśmiechał się wysoki, przystojny brunet.

– Tak, to pomyłka. Przepraszam.

Wyszła rozczarowana. W pociągu zaczęła analizować informacje.

Legitymacja Romana Piotrowskiego się zgadza, a późniejsze zdjęcie nie. Ojciec posłużył się dokumentem innego faceta. Dlaczego? Mama mówiła, że się ukrywał? Jak naprawdę się nazywał? Jak go szukać?

Wrocław, maj 1985 rok

W pociągu jest ciepło, dzieci siedzą spokojnie, Są najedzone i mają czyste ubranka, tylko włosy... Dziewczynka poprawiła chusteczkę na ogolonej głowce a w oczach zakręciły się łzy. Mama by nie pozwoliła na to. To co, że były jakieś wazy, coś by wymyśliła. Mówiła zawsze Wandeczko, jakie ty masz śliczne warkoczki. Mamy nie ma i już nigdy jej nie zobaczę. Pociąg jedzie, stuka coraz głośniejsze dzwoni... Obudziła się zlaną potem. Znowu ten sen, te wspomnienia. Co to dzwoni? Telefon. Drżącą ręką podniosła słuchawkę, jeszcze się wyzwoliła ze snu. Jeszcze przed oczami miała koszmary wojny.

– Wandziu! To ja, Zosia. Słuchaj! Marek znalazł twojego Romana!

– Jaki Marek?

– No, porucznik Marek Liniewski!

– Jak to znalazł Romana? Jak go znalazł? Gdzie on jest?

– Właśnie nie wiadomo gdzie jest. Szukają go.

– Kto go szuka? Nic nie rozumiem.

– Milicja. Prawdopodobnie widział mordercę.

– Nic nie rozumiem – powtórzyła Wanda i poczuła, jak cała wewnątrz zaczęła się trząść jeszcze bardziej – jakiego mordercę? O czym ty mówisz?

– Tego mordercę, co ukatrupił tego ruskiego! Pamiętasz? Była o tym mowa na moich imieninach.

– Pamiętam – powiedziała cichutko i poczuła, że musi zaraz usiąść, bo inaczej upadnie.

Roman, po tylu latach. Dlaczego nie wrócił do nich. Nie chciał nic wiedzieć o dziecku? Poczuła, że Roman jest już dla niej zupełnie obcym człowiekiem. Znaleźli, szukają. A co mnie to obchodzi?

– Jesteś tam?

– Tak.

– Powiedz coś. Nie cieszysz się?

– Cieszę? Nie, nie wiem.

– Zadzwoń jak będę znała szczegóły.

– Tak. Dobrze.

Odłożyła słuchawkę.

Jak automat zrobiła sobie kawę i usiadła przy stole. Nie chce się z nim spotkać, myślała bez złości o człowieku, który ją zostawił na dwadzieścia dziewięć lat. To przeszłość.

– Kto dzwonił? – Do kuchni weszła Helenka. Przeciągnęła się – ale kawusia ładnie pachnie. Zapaliła gaz pod czajnikiem – to kto dzwonił?

– Ciocia Zosia, nic ważnego.

– Aha – zalała kawę i zaczęła robić kanapki.

Jan złapał Helenkę w korytarzu uczelni.

– O której kończysz?

– Zajęcia mam do szesnastej, a potem jeszcze spotkanie z promotorem. Ten doktorat mnie wykończy, wiesz jaki Malinowski jest pedantyczny.

– Wiem, też u niego pisałem. Wyrobisz się do 19-tej?

– Jasne, a co?

– Chcę cię zabrać do mamy.

Uśmiechnęła się i pomyślała, że to już najwyższy czas na poznanie przyszłej teściowej.

Wieś pod Wrocławiem, maj 1985 rok

Ksenia cierpliwie czekała na Jana. Po raz pierwszy miał przeprowadzić Helenkę. Narzeczoną. Tak się martwiła, że jest sam, że się do tej pory nie ożenił. Ma przecież już 40 lat. Ja w jego wieku, uśmiechnęła się do wspomnień, miałam już dorosłych synów. Piotr miał 22 lata, Stefan 20, Franek 9, a Ewka, najmłodsza 4. Nie lubiła wspomnień, ale teraz czekając na syna jakoś tak ją naszło. Jak to wszystko zmieniło w ciągu tych 80 lat. Nie mogła wyjść z podziwu.

Przyjęła Helenkę serdecznie. Kwiaty wstawiła do wazonu i wniosła parującą wazę z zupą.

– Na pewno jesteście głodni. Ugotowałam barszcz ukraiński.

Taki prawdziwy, jak się u nas gotowało.

– Umieramy z głodu – Jan podsunął wazę w stronę dziewczyny – specjalność mamy.

Rozmawiali, śmiali się, Helenka była Ksenią zachwycona. Taka dobra, poczciwa. Sama nie wie, kiedy zaczęła opowiadać o poszukiwaniu ojca. Łzy zakręciły się w oczach.

– Mam tylko to zdjęcie z pięćdziesiątego czwartego roku – wyciągnęła z torebki fotografię.

Ksenia pobladała. Z niedowierzaniem popatrzyła na Jana. Helenka to zauważyła.

– Co się stało?

– Bo taki podobny do kogoś.

– Tak? Do kogo? Znała go pani?

– Taki podobny... Nie wiem, to niemożliwe...

Jan przez ramię matki patrzył na zdjęcie, ale nikogo mu nie przypominało.

– Do kogo? – Helenka się zniecierpliwiła.

– Do Wasyla Kawułyca – szepnęła Ksenia.

Zapadła cisza. Słyszać było tylko tykanie budzika stojącego na telewizorze.

– To jest Wasyl Kawułyca – dodała już nieco pewniejszym tonem.

– To niemożliwe. Jest tylko podobny! Ojciec działał w AK. Musiał się po wojnie ukrywać – mówiła szybko, prawie z płaczem – Ja... ja nie, nie wierzę pani! To bzdura! – mówiła coraz głośniejsze – może podobny, ale na pewno nie on! – krzyknęła i z płaczem wybiegła z mieszkania.

– Idź za nią, to dla niej ogromny cios.

– Dla mnie jeszcze większy.

Po długiej chwili milczenia wstał i wyszedł bez pożegnania.

Siedział nad rzeką wpatrzony w jej bure wody. Od dwóch dni nie mógł sobie znaleźć miejsca, aż wreszcie bezwiednie skierował się w to miejsce. Uciekał tu w dzieciństwie zawsze, gdy miał jakiś problem. Pierwszy raz uciekł gdy dowiedział się, że nie jest rodzonym synem Kseni. Zimna woda złagodziła podrapania od malin. Ale nie skaleczenia były najważniejsze. Nie rozumiał dlaczego jego ukochany starszy brat był na niego zły. Nie był jego bratem?

Przybiegł tu, kiedy groziła mu powtórka szóstej klasy. Bał się wrócić do domu. Właśnie tutaj, nad Odrą postanowił, że weźmie się solidnie do nauki. I tak zrobił. Przeszedł do siódmej i skończył ją z wyróżnieniem.

Wpatrywał się w nurt rzeki, kiedy się po raz pierwszy zakochał. Był wtedy w pierwszej klasie liceum, a dziewczyna chodziła do trzeciej. Widywał ją na przerwach. Była piękna. Wysoka, szczupła, miała złote włosy opadające na ramiona i błękitne oczy. Marta. Spotkał ją wiele lat później. Przytyła, ścięła włosy i miała bliźniaki. Dwóch rozwrzeszczanych chłopczków. Wtedy też przyszedł nad rzekę.

Przychodził tu po każdej awanturze z Lucyną. Wytrzymał z nią trzy lata. Była trochę podobna do dziewczyny z liceum. Jasne włosy okalały drobną twarz Lucyny nadając jej wygląd aniołka, a charakter miała diabelski. Po rozstaniu było mu tak lekko, że nad rzekę nie przyszedł. Poszedł do knajpy opić tę decyzję. Kolejnych rozstań tak nie przeżywał. Przez wiele lat nie odwiedzał tego miejsca, dopiero kiedy po raz pierwszy zobaczył Helenkę znów tu przyszedł. To właśnie tu, pod szumiącym drzewem i nad wezbranymi wodami Odry zrozumiał, że chce spędzić z nią resztę życia.

A teraz bił się z myślami. Helenka, miłość jego życia okazała się córką mordercy jego rodziców. Bo to on spowodował ich śmierć. Helenka wesoła, szczerą, nie знаła swego ojca. Myślała, że walczył w Armii Krajowej, że był bohaterem. A jej matka? Co o nim wiedziała? Ukrywała prawdę, czy sama wierzyła w tę historię?

Helenka. Zobaczył ją po raz pierwszy na rozpoczęciu roku. Wpadli na siebie na korytarzu. A potem siedziała w drugim rzędzie. Taka drobnutka, z wielkimi czarnymi oczami. Błyszczały te oczy i tak pięknie się rumieniła. Chodził wtedy jeszcze z Lucyną? A może

już z Dorotą? To nie było ważne, to się nie liczyło. Liczyły się wtedy tylko te czarne oczy.

Nie mógł teraz widzieć Helenki. Każde z nią spotkanie przypominałoby mu jego tragedię. Musi dać sobie czas.

Ani razu nie pomyślał, co przeżywa dziewczyna.

Po dwóch dniach przyszedł do domu Kseni. Jego rodzinnego domu. Wiedział, że matka go zrozumie.

– Och, Jasiu, jak dobrze, że jesteś. Martwiłam się o ciebie – Ksenia przywitała go z otwartymi ramionami – Helenka dzwoniła. Nie byłeś na uczelni.

– Wziąłem sobie kilka dni urlopu – skłamał – jakby dzwonił, to mów, że nie wiesz gdzie jestem.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Chodzi o Helenkę i jej ojca?

Kiwnął głową.

Kobieta bez słowa poszła do kuchni przygotować obiad. Wiedziała, że żadne słowa tu nie pomogą. Sam musi się z tym uporać.

Wrocław, maj 1985 rok

Helena przeżywała rozstanie z Janem. Miała do niego żal, że tak ją zostawił bez słowa, a z drugiej strony rozumiała jego niechęć do niej, a właściwie dlaczego niechęć? Co ona temu winna, że jej ojciec...? Przecież wcale ojca nie знаła. Nic o nim nie wiedziała dopóki nie pojechali na tę głupią wycieczkę w Bieszczady. A poza tym tak się źle czuje już od dwóch tygodni. Szczególnie rano.

Poczuła jak łzy napływały jej do oczu. Ostatnio tak często była skłonna do płaczu. Taka rozdrażniona. Właściwie to nic dziwnego. Ojciec bandyta. Narzeczony zostawił. Popatrzyła na swoją dłoń. Na serdecznym palcu błyszczał małymi diamentkami zaręczynowy pierścionek. Jaka była w tym dniu szczęśliwa. I szczęście prysło, ot tak. Nowe łzy jak grochy potoczyły się po policzkach. Wytarła rękawem łzy i pociągnęła nosem. Nie chciało się jej nawet wstać po chusteczkę. Po co? I tak nikt nie widzi. W kącie stała spakowana walizka. Ta największa, na kółkach. W tym tygodniu miała się wyprowadzić do Jana. Nawet datę ślubu planowali.

– Tylko nie maj! – śmiała się wtedy Helenka – ślub w maju to nieszczęście. W nazwie miesiąca ma być er.

– Co ma być?

– Rrrry, jak ryba. To przynosi szczęście.

– Gdzieś to słyszała?

– Nie wiem, ale prrroponuję czerrrrwiec albo sierrrrpień.

– Zgadzam się na wszystko. Ze mną jak z dzieckiem za rękę i przed ołtarz.

– To znaczy?

– Może być czerrrrwiec.

A teraz siedziała sama ze swoimi wspomnieniami. Chciała być sama. Mamie powiedziała, że zerwała z Janem.

– Dlaczego? Co się stało?

Wanda była zaskoczona.

– Tak wyszło.

I uciekła do swego pokoju.

Wanda taktownie nie poszła pocieszać. Musi się wyplakać. Sama dojdzie do tego, żeby mi powiedzieć. Wzięła siatkę i wyszła na zakupy.

Dlaczego mama wciskała jej, że ojciec był w AK? Kłamała! Do tej pory nie miały przed sobą tajemnic. Mama kłamała! Musiała przecież znać prawdę.

Siedziała teraz sama, zapłakana, zrozpaczona.

Jana poznała na pierwszym roku studiów. W pierwszy dzień na uczelni. Lekko spóźniona biegła na wykład i wpadła z impetem na przystojnego chłopaka.

– Nie wiesz gdzie ma zajęcia pierwszy rok?

– Wiem.

Uśmiechnął się rozbajająco. Razem weszli do sali. Helena usiadła w drugim rzędzie z boku. Miejsce obok było puste. Myślała, że ten przystojniaczek usiadzie koło niej. Wyciągnęła z torby notatnik, przez chwilę szukała długopisu. Wreszcie podniosła oczy i...

– O rany!

Szepnęła. Przystojniaczek stał za katedrą.

– Nazywam się Jan Małyniak. Jestem doktorem historii i będę waszym opiekunem roku. Prowadzę też ćwiczenia z historii średnio-wiecznej.

Reszty nie słyszała. Ten facet ciągle się na nią gapił, a ona czuła, że jest coraz bardziej czerwona. W uszach szumiało. W głowie kołatała myśl. Uciec! Uciec stąd jak najdalej! Ale się wygłupiłam! Boże! Mam przechlapane. I czego on tak cały czas się gapi?

Wrocław, maj 1985 rok

Zosia przyjechała do Wrocławia. Czuła, że musi porozmawiać z przyjaciółką. Pocieszyć? Chyba tak, przecież Wanda ma tylko ją. Siedziały od pół godziny, ale rozmowa jakoś się nie kleiła.

– Martwię się o Helenkę – odezwała się wreszcie Wanda – Jan z nią zerwał – podniosła kieliszek z czerwonym winem i zaczęła przyglądać się jego zawartości pod światło – najgorsze, to że nie chce nic mówić. Zamknęła się w sobie, a ja mam wrażenie, że o coś ma pretensje. Zawsze mówiłyśmy sobie wszystko a teraz...

– A ty powiedziałaś, że odnaleźli jej ojca?

Wanda pokręciła głową.

– Dlaczego?

– Sama nie wiem. Może dlatego, że po tylu latach wydaje mi się, jakby nigdy nie istniał. Nic do niego nie czuję. Ani radości, że się odnalazł, ani żalu, że nie wrócił. To dla nas zupełnie obcy człowiek. Jakiś czas temu wypytywała o ojca. Niewiele miałam do powiedzenia i dała spokój.

– Poczekaj, w końcu wszystko się wyjaśni. A może... – Zosia zawahała się na moment – a może po prostu zapytaj o co chodzi?

– Pytałam. Odburknęła, że o nic i zamknęła się w swoim pokoju.

– Może jak go znajdą, przyjedzie, dogadacie się.

– Ja właściwie nawet nie chcę go widzieć. Chyba wołałabym, może to okrutnie zabrzmii, ale wołałabym, żeby nie żył.

– Marek go szuka.

– Marek?

– Porucznik Marek Liniewski. Ciągłe pyta o ciebie.

– O, to miło – powiedziała bez przekonania.

– Nie jesteś zainteresowana?

Zosia koniecznie chciała zmienić tok rozmowy.

– Zainteresowana? Porucznikiem? Nie – uśmiechnęła się tajemniczo – porucznikiem nie.

– Aaa, to jest ktoś?

– Tak do końca to sama nie wiem.

– Opowiadaj! Pamiętasz? Tam w Bombaju ustaliliśmy, że jesteście siostrami i mówimy sobie wszystko.

– Bombaj... A pamiętasz słońce, morze i ta kobieta, która nam śpiewała...?

Obie zaczęły cichutko nucić.

„Miłość, ci wszystko wybaczy, smutek zamieni ci w śmiech, miłość tak pięknie tłumaczy zdradę i kłamstwo i grzech...”

– To była Hanka Ordonówna.

– Teraz to wiem, ale wtedy wydawała mi się jak nie z tego świata – westchnęła Wanda.

– Sprytnie zmieniasz temat. Mów, w kim jesteś zakochana?

– Zakochana, to chyba za dużo powiedziane. Jest dobry, opiekuńczy, pomaga mi we wszystkim, mieszka obok.

– I już?

– Co już?

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Teraz to się martwię o Helenkę i Roman spędza mi sen z powiek.

– Wszystko się ułoży, będzie dobrze.

Powiedziała Zosia z udawanym optymizmem.

Wyjechała wieczorem i Wanda została znowu sama z nierozwiązanym problemem.

Ledwo dobiegła do łazienki. Od kilku dni dokuczały jej mdłości. Nie, to niemożliwe. Przecież tak uważałam. Na pewno się czymś strułam. Ta sałatka mamy była jakaś kwaśna. Pewnie nieświeża. Gorąca, gorzka herbata postawiła ją na nogi. Zrobiła staranny makijaż używając więcej fluidu niż zwykle. Żeby się koleżanki nie dopytywały, co jest?

Wpadają do domu. Krzyczą. Przewracają wszystko. Zabierają tatę. Przytulam się do mamy. Stoimy w kącie przerażone. Nie płacemy.

Jedziemy pociągiem. Jest zimno i brudno. Siedzimy z mamą na podłodze. Wszyscy siedzą na podłodze. W tym pociągu nie ma ławek. Trzęsę się z zimna. Mama zdejmuję płaszcz. Okrywa mnie.

– Zmarzniesz.

– Mnie jest ciepło – mówi mama i uśmiecha się. Kaszle. Coraz głośniej i częściej. Dojeżdżamy. Każą nam wysiadać. Mama nie ma siły. Ktoś ją wypycha. Pada.

– Mamo! – Krzyczę. Nikt nie słyszy – mamusiu! Nie odzywa się. Nie rusza.

Zostaję sama.

Boję się.

Znowu ten koszmarny sen. Wanda budzi się zrana potem. Za oknem ciemno. Leży z otwartymi oczami. Jeszcze przeżywa sen. Jeszcze widzi mieszkanie w Stanisławowie. Soldatów zabierającego ojca, którego nigdy już nie zobaczyła. Gdyby nie Zosia. Zaopiekowała się nią. Dzieliła jedzeniem, chociaż sama miała mało. W 1947 można było wracać do Polski. Jak się kogoś miało. One miały babcię Zosi.

Szła korytarzem uczelni nie widząc nikogo. Mocny makijaż z trudem maskował podpuchnięte oczy. Włosy rozpuściła i starała się zakryć choć trochę zapłakaną twarz.

– Pani Helenko co się dzieje z Małyniakiem? – Profesor Malinowski był zaniepokojony – od dwóch dni nie daje znaku życia. Telefonu też nie odbiera.

– Nie wiem, panie profesorze, w domu go nie ma, a jego matka też nic nie wie.

Profesor teraz dopiero zauważył zacerwienione oczy doktorantki.

– Czy coś się stało?

Helenka kiwnęła głową, bo nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Ach, tak?

I chciał odejść, żeby nie drażnić tematu.

– Panie profesorze! Ja... ma pan trochę czasu? To wszystko przez te wycieczkę w Bieszczady.

– Proszę do mnie.

Malinowski niewiele jednak się dowiedział. To, że Jan ją zostawił, łatwo było się domyśleć. Już wcześniej przypuszczał, że ma to związek z wizytą w Łopience i z tym kimś, kogo chce odnaleźć.

Z ociąganiem wykręciła numer Natalii. Musi z kimś pogadać, bo zwariuje. Wszystko jedno z kim. Natalia najbardziej się nadawała do zwierzeń. Cicha, dyskretna, rozsądna. Może coś doradzi, a na pewno nie rozgada i nie wyśmieje. Chociaż... Przypomniała sobie, jak Nata ją kilka lat temu ostrzegła.

– Daj sobie z nim spokój. Nie ty pierwsza i nie ostatnia. Przepraszam, że tak mówię obcesowo, ale na wydziale nazywają go Don Juan. Żadnej nie przepuści. Nawet mnie próbował... – urwała w pół zdania – nieważne.

Natalia nie była atrakcyjna. Można powiedzieć wręcz odpychająca. Wysoka, tyczkowata. Rzadkie włosy mysiego koloru związywała gumką recepturką. I do tego nosiła paskudne okulary.

Zazdrosna i dlatego tak mówi – pomyślała wtedy Helenka. Po bliższym poznaniu Nata zyskiwała, okazywała się ciepłą, życzliwą istotą, no i na trzecim roku wyszła za mąż za najprzystojniejszego faceta. A na historii facetów jak na lekarstwo.

Taki ktoś, kto wysłucha, zrozumie, może doradzi był teraz Helence bardzo potrzebny.

– Cześć Nata, tu Helena, masz trochę czasu? Możemy pogadać?

– Poczekaaj.

Natalia musiała przykryć dłonią słuchawkę, bo było słycać niewyraźne głosy. Jakieś popiskiwanie, a po chwili głośny dziecięcy śmiech. No tak, miała przecież rozkosznego dwulatkę.

– Będę u ciebie za pół godziny. Mam wrażenie, że to rozmowa nie na telefon.

– Tak, dziękuję.

Przyjechała. Helenka nie widziała jej od prawie roku. Nata zagrzebała się w domu. Zarzuciła doktorat, pilnowała kariery męża. Nie miała czasu na spotkania towarzyskie. Widok koleżanki ją zaskoczył. Ufarbowała włosy i ścięła króciutko. Teraz rozjaśnione tworzyły wokół jej twarzy puszystą aureolę. Lekki makijaż podkreślał jej regularne rysy. Była bez okularów. W jeansach i luźnej koszulce wyglądała naprawdę atrakcyjnie.

– Ale się zmieniłaś.

Roześmiała się tylko i z impetem usiadła na fotelu.

– To mów, co cię gryzie?

I Helenka zaczęła mówić.

Profesor wprowadził go do swojego gabinetu, jednego z czterech pokoi w przedwojennym budownictwie. Regały z upchniętymi książkami zajmowały wszystkie ściany. Książki leżały na biurku, które chyba również pamiętało czasy przedwojenne, były też na małym stoliku, a nawet na krześle.

– To moje najnowsze zdobycze – profesor z dumą wskazał krzesło – niech kolega siada.

Jan usiadł na jedynym fotelu nie zajęтым przez literaturę. Malinowski precyzyjnie się za biurko i też usiadł.

– Martwił się o ciebie.

– Tak, nawaliłem, ale to się już nie powtórzy.

– Wiem, wiem – profesor z roztargnieniem spojrział na swojego byłego studenta, a teraz kolegę wykładowcę – pani Zbilka powiedziała mi wszystko. Jest załamana.

Jan milczał.

– Czy naprawdę uważasz, że możemy brać odpowiedzialność za czyny rodziców?

Profesor uważnie przyglądał się swemu gościowi.

– Helenka bardzo przeżywa rozstanie – kontynuował – właściwie nie powinienem się wtrącać, ale lubię was oboje i nie mogę patrzeć jak się męczycie. Chyba nawet cię rozumiem. Wiesz, że przyjechałem po wojnie ze Lwowa. Ale urodziłem się w małej wiosce na Wołyniu. Ukraińcy zamordowali mi całą rodzinę. Dochodziły nas okropne wieści. To było 11 lipca 1943 r. Piękna, pogodna niedziela. Jak zawsze wszyscy Polacy na wsiach ruszyli na msze. Nikt nie spodziewał się takiej tragedii. Ukraińska Powstańcza Armia wspomagana przez ukraińską ludność cywilną otoczyła kościoły w 167 wsiach. Zaatakowano wychodzących z broni palnej, siekierami, kosami, nożami. Ta niedziela była apogeum rzezi jakie miały miejsca na Kresach. Na całych Kresach Wschodnich zostało zamordowanych w czasie wojny przez OUN UPA około 200 tysięcy Polaków. (*H. Ziolkowska-Modła: 11 lipca Dzień Pamięci Kresowian. W: Wołyn i Polesie, R.XXI, listopad 2014, nr 4 (85), s. 105*).

Chciałem wracać do swoich. Na studiach poznałem Irenę. Była z mojego roku, tylko na biologii. To ona i jej rodzice przygarnęli mnie, nie pozwolili jechać. I tak bym już nikogo nie uratował. Strach przed banderowcami po wojnie nie ustąpił. Ciotka mojej żony trafiła po wojnie do Opola. Bała się obcych, a nawet sąsiadów. Zamy-

kała się na kilka zamków i łańcuch. Prawie nie wychodziła z domu. Byliśmy u niej kilka razy. Przez szparę w drzwiach musieliśmy podać swoje dowody osobiste. Przez labirynt ułożony ze starych pudeł, nierozpakowanych zakupów, dotarliśmy do salonu. Opowiadała, że Ukrainę ją prześladowa. Zalepiają wizjer. Wpisują na drzwiach nieprzyzwoitości. Tak mówiła. A z drugiej strony Polacy krzyczą za nią Ruska. Wracaj do swoich! Ciotka pochodziła ze Lwowa i miała ten charakterystyczny zaśpiew.

– To samo mówiła moja siostra. Akcent, wtrącanie ukraińskich słów, były przyczyną złośliwych uwag ze strony rówieśników.

– To rozumiesz. Ciotkę do śmierci męczyła mania prześladowcza. Mimo to mam przyjaciela Ukraińca – kontynuował profesor – jest to historyk, który obiektywnie ocenia sytuację jaka była na Wołyniu i Bieszczadach.

Jan był zaskoczony zwierzeniami profesora.

Długo rozmawiali, a właściwie to profesor cały czas mówił. Zbliżała się północ gdy wyszedł od Malinowskiego.

Szedł przez miasto ciemne i opustoszałe, zamyślony o tym, co usłyszał od swego profesora. Nie zwrócił nawet uwagi na mijającą go podpitą i hałasującą grupę. Nagle posłyszał swoje imię.

– Janek? To ty? Naprawdę?

Odwrócił się zaskoczony. Towarzystwo się zatrzymało i wysoka blondyna rzuciła mu się na szyję.

Patrzył zaskoczony.

– Marta? – Nie był pewien.

– Marta, Marta – roześmiała się kobieta – idziesz z nami! Bez dyskusji – wzięła go pod ramię. – Kolega z pracy Rafał ma urodziny. Czterdziestka. Ważna data. Właśnie zmieniamy lokal, bo na Kwiatowej knajpę nam zamknęli.

– Mało co, a nas by nie zamknęli – odezwał się solenizant.

– Tak, Martusia zaczęła za bardzo rozrabiać – dorzucił tłuszcziutki rudzielec.

– Właściwie czemu nie.

Perspektywa pustego mieszkania i bicia się z własnymi myślami nie była miłą perspektywą.

Obudził się w obcym mieszkaniu. Marta leżała obok. Pomału zaczął przypominać sobie wczorajszy wieczór. Restauracja, nowi znajomi i wódka. Morze wódki. Otrząsnął się z obrzydzeniem. Zegarek stojący na nocnej szafce wskazywał 9.20. Dobrze, że to niedziela. Wstał po cichu. Z podłogi podniósł spodnie, koszula była przerzucona przez oparcie krzesła. Wyszedł do przedpokoju. Mieszkanie było duże i ładnie urządzone. Czuł, że głowa zaraz mu

pęknie. Zimny prysznic przyniósł ulgę. W kuchni nastawił wodę i po krótkich poszukiwaniach natrafił na puszkę z kawą.

– Ale zapach. Zrób też dla mnie.

Do kuchni weszła Marta. Była w cienkim szlafrocisku. Krótko podstrzyżone włosy sterczały na wszystkie strony. Pod oczami miała resztki wczorajszego makijażu.

– Cholera, łeb mi zaraz odleci – usiadła ciężko przy kuchennym stole – nic nie pamiętam, jak wróciliśmy?

– Taksówką.

– Aha. Czy my? – zawahała się – no wiesz o co mi chodzi.

– Wiem o co ci chodzi, ale nie wiem, nie pamiętam.

Pamiętał, nie był aż tak pijany. Marta była bardzo nachalna a on niespecjalnie się bronił. Teraz tego żałował. Wczoraj wydała mu się ładna. Podobno nie ma brzydkich kobiet, tylko czasem alkoholu za mało – pomyślał z ironią. Marta, jego szkolna miłość. Jak to dawno było.

– A gdzie twój mąż? Dzieci?

– Chłopcy każdy weekend spędzają z ojcem. Rozwiedliśmy się dwa lata temu. Zostawił mi mieszkanie i dzieci. Zabrał samochód i oszczędności i poszedł w siną dal – zaśmiała się nienaturalnie – a co u ciebie? Nadal kawaler do wzięcia?

– Nadal.

Zaczęli mówić o sobie, wspominać dawne czasy, kolegów, nauczycieli.

W końcu powiedział o poszukiwaniach Wasyla Kawułyca vel Romana Piotrowskiego.

– Co, załazł ci za skórę?

– Można tak powiedzieć.

– Mój były jest milicjantem, jeden z jego kolegów odszedł z firmy, czemu, nie wiem. Teraz bawi się w detektywa. Nieoficjalnie, ale może ci pomóc.

Na karteczce napisała numer telefonu – powołaj się na mnie – zna się na tym i ma swoje dojsścia.

Następnego dnia zadzwonił i umówili się w pizzerii w rynku. Przyszedł wcześniej i usiadł pod oknem, przed nim leżał „Przekrój” jako znak rozpoznawczy. Idiotyczne podchody. O umówionej godzinie, punktualnie, podszedł do niego niewysoki, lekko łysiejący mężczyzna. Miał dobrze po pięćdziesiątce.

– Pan Małyniak?

– Tak.

Usiadł naprzeciw i machnął na kelnerkę.

– Co u Marty?

– W porządku, dała mi pana adres...

– Tak, tak, niech pan mówi.

I Jan przedstawił sprawę, pomijając oczywiście rolę w tym wszystkim Helenki. Wydawało się, że nie słucha, tak był zajęty jedzeniem ogromnej pizzy.

– Za kilka dni się odezwę – przełknął ostatni kęs i powoli się podniósł.

– A jak się mam do pana zwracać?

– Powiedzmy, że Joe Alex.

Po kilku dniach zadzwonił.

– Mówi Alex, sprawa sfinalizowana. Szykuj pan forszę.

Spotkali się w tym samym miejscu. Detektyw podał Janowi karteczkę, wziął zapłatę i zniknął.

Jan zamówił drugą kawę. Musiał pozbierać myśli, ale nie mógł się skupić. O tej porze w pizzerii było pusto. Nawet kelnerka gdzieś zniknęła. Ta cisza była denerwująca. Powinien wstać, pójść na uczelnię. Powinien.

– Dzień dobry.

Popatrzył zaskoczony na młodą kobietę, która bez zaproszenia usiadła na miejscu detektywa.

– Zobaczyłam pana przez okno. Pan mnie nie pamięta? Byłyśmy z Heleną na tym samym roku. Nazywałam się wtedy Natalia Sobek.

Jan się nie odezwał. Nawet nie usiłował sobie przypomnieć.

– Teraz nazywam się Zalewska. Mój mąż też z tego roku.

– Zalewski. Mirek Zalewski. Tak, pamiętam. Mężczyzn było tylko trzech.

– Czterech, ale jeden odpadł po pierwszym roku.

Dziewczyna była naprawdę bardzo ładna. Jak mógł jej nie pamiętać?

– Nie będę owijać w bawełnę. Chodzi o Helenę.

– O Helenę?

– To, że jej ojciec, którego nigdy nie widziała, rzekomo przyczynił się do śmierci pana rodziców, nie ma z nią nic wspólnego.

– Chce pani powiedzieć – przypomniał sobie niedawną rozmowę z Malinowskim – że też przeżyła jakąś tragedię, ale się pozbierała i mimo to...

– Nie! – przerwała stanowczo – mam wspaniałych rodziców, kochającego męża, cudowną córeczkę i nigdy nie przeżyłam zawodu miłośnego.

– Więc słucham – w jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

– Powiem krótko. Będzie pan cholerną świnią, jak ją TERAZ zostawi.

Na teraz położyła szczególny nacisk. Jan chciał powiedzieć, że

to niej sprawa, że jest bezczelna nachodząc go, ale kobiety już nie było.

Patrzyła z uśmiechem jak Stanisław krząta się w kuchni. Słyszała syk czajnika i brzęk filiżanek stawianych na spodeczkach. Wanda oparła się wygodnie w fotelu.

– Taka u ciebie cisza.

Wszedł do pokoju i postawił tacę na stoliku. Miał podwinięte rękawy koszuli. Delikatnie dotknęła jego przedramienia.

– Oświećmy?

Skinął głową.

Długo milczeli. W końcu Stanisław zaczął opowiadać.

– Po Powstaniu Warszawskim w 1944 r. ci, którzy przeżyli, a nie udało im się uciec kanałami, zostali zawiezieni do Auschwitz. Miałem wtedy 14 lat. Jak przez mgłę pamiętam wrzaski esesmanów, ujadanie psów i krzyki wypędzanych z pociągu. Dręczyła mnie jedna myśl. Muszę odnaleźć ojca. Jakaś postać w pasiaku szepnęła mi dość wyraźnie „mów, że masz 17 lat”. Tak zrobiłem. Trafiłem do obozu męskiego. Musiałem znaleźć ojca.

– Znalazłeś?

– Tak. Umarł na moich rękach.

Po dłuższej chwili kontynuował. Wanda słuchała w milczeniu.

– Przetrawiałem do wyzwolenia w stanie skrajnego wyczerpania. Byłem muzułmanem, jak określało się w obozie żywe trupy. Był styczeń 1945 r, leżałem zubożniały na wszystko. Niewiele nas zostało. Parę dni wcześniej wyprowadzono z obozu więźniów, którzy mogli iść. Mnie było wszystko jedno, co będzie. Gdyby nie Wania pewnie bym nie przeżył. Wycierał mi twarz, pocieszał.

– Budiet charaszo – mówił.

I wtedy usłyszeliśmy jakieś zamieszanie, krzyki. Strzały.

– Eto czerwona armia! – ucieszył się – jesteśmy uratowani!

Potem trafiłem do szpitala. Był to polowy szpital zorganizowany w barakach poobozowych. Dbali o nas. Wania był przy mnie cały czas. Pewnego dnia Wania zniknął. Z trudem wstałem i bardzo pomalutko wyszedłem na zewnątrz. Był mróz, ale słońce świeciło mocno. Oślepiało. Zobaczyłam „czerwonoarmiejca” i zapytałam o Wanię.

– Wania? Ten wojennoplennyj? NKWD go zabrało. Pojechał na wycieczkę. Do łagru – zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Dlaczego?

– Paczemu? Eta szpion. Tyle tysięcy jeńców wojennych zamordowano, a on przeżył? Dlaczego? Bo donosił, współpracował z wrogiem. Zdrajca!

Wani już nigdy nie zobaczyłem.

Wieś pod Wrocławiem, maj 1985 rok

Bure wody Odry łagodnie gładziły przybrzeżne zarośla. Korony drzew falowały w dostojnym tańcu poruszane lekkim wiatrem. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Ciepłe majowe popołudnie.

Jan siedział na jakimś pieńku i wpatrywał się w nurt rzeki. Ze wszystkich stron dochodziły go głosy ludzi korzystających z ładnych majowych dni. W kieszeni była zmięta karteczka z adresem. Tyle razy wpatrywał się, miał, rozprostowywał, wyrzucał, a potem grzebał w koszu na śmieci. Chciał w spokoju przemyśleć tę nową sytuację. W spokoju. Dawniej nikt tu nie zaglądał, a teraz oprócz kilku wędkarzy krzyczały dzieciaki, matki krzyczały na te dzieciaki i tak w kółko.

Zmięta karteczka z adresem Romana Piotrowskiego parzyła w kieszeni. Adres znał na pamięć. Trzeba tylko podjąć decyzję.

Wrocław – Janów Podlaski, maj 1985 rok

Bezmyślnie obserwował z okna pociągu mijane krajobrazy. Pola, lasy, domy. Nie mógł zebrać myśli, chociaż bardzo się starał. Jazgot jakiejś przekupki rozpraszał go. Powracały tylko uparcie słowa profesora, co zrobisz, jak go znajdziesz? Co zrobisz? Co zrobisz? Tłukło mu się w głowie w rytm stukotu kół pociągu. Zabiję! Z takim postanowieniem wyruszył z Wrocławia, ale czym był bliżej celu, tym miał więcej wątpliwości. Zabiję! Powtarzał. Jak? To będzie zależało od okoliczności. Od okazji. Wyobraźnia podsuwała mu różne scenariusze. Najczęściej pojawiał się jeden. Stoi przed roslim, silnym mężczyzną. Pięćdziesięcioletnim, nie, on musi mieć znacznie więcej. Krzyczy do niego: morderco! Za moich rodziców, za moje sieroctwo!

Za to, że znenawidził Helenkę?

Po raz pierwszy od tamtego wydarzenia przypomniał sobie jej przerażone i niedowierzające spojrzenie, gdy matka powiedziała: to jest Wasyl Kawułyca.

Czy mógłby teraz popatrzeć jej w oczy nie widząc w nich oczu mordercy?

Ta myśl go przerażała. Dobrze, że z nią zerwał. Do końca życia widziałby w niej Kawułyca.

O tym, co będzie po wymierzeniu sprawiedliwości nawet nie pomyślał. Przecież to nie morderstwo. To wykonanie wyroku na zdrajcy. Tak to w czasie wojny wyglądało. Odczytanie wyroku i kulka w łeb. Tylko on nie ma żadnej broni. Nie szkodzi. Jest młody, silny. Da radę. Znowu przed oczami pojawiła się wymaginowana postać Kawułyca. To nic, da radę każdemu osiłkowi.

Podróż do Janowa zabrała Janowi kilka godzin. Pod koniec podróży coraz częściej nachodziły go wątpliwości. Czy go znajdzie?

Czy rozpozna? A może lepiej oddać go w ręce sprawiedliwości? Sprawiedliwość! Fuknął z ironią. Tyle lat po wojnie, a on sobie spokojnie czyści konie. Gówno nie sprawiedliwość.

Wsiadł na niewielkiej stacji w Janowie Podlaskim. Ktoś wskazał mu drogę.

– To kilka kilometrów, lepiej czymś podjechać.

Zdecydował się, że pójdzie pieszo.

Janów Podlaski, maj 1985 rok

Wyszedł ze stajni szybkim krokiem. Z trudem panował nad sobą by nie biegnąć, bo to wzbudziłyby podejrzenia. Chociaż strach pchał go, zmuszał do biegu. Spokój, tylko spokój, powtarzał. Strach towarzyszył mu od zawsze. Nie, właściwie dopiero od czterdziestego siódmego roku. Zwierzęcy strach, który uczy szukać kryjówek. Stać się przeźroczystym. Nijakim. Wtedy nikt go nie zauważy. Oczywiście! Przymknąć powieki. Patrzyć w ziemię, bo w oczach czai się strach.

Wyszedł jak stał. Do swego pokoju nie wróci. Musi jak najszybciej wydostać się z Janowa. Z trudem wygrzebał z kieszeni kilka złotych. Powinno starczyć na bilet.

– Tak, bilet, ale dokąd pan chce jechać?

Kasjerka się zniecierpliwiła.

– Dokąd? – Myślał nerwowo. Z megafonu usłyszał niewyraźną zapowiedź.

– Lublin. Proszę bilet do Lublina.

Pieniądzy starczyło. Wsiadł. I co dalej? Znowu wszystko zostało. Znowu. Co dalej? Żadny zemsty Nikita nie odpuścił. Znalazł go. Zawsze go znajdował. Jak? To było zagadka dla Wasyla. Dobrze się stało, jak się stało. Martwy nie robi mu krzywdy. Teraz szuka go milicja. Musi na jakiś czas przycupnąć. Tak, to dobre określenie. „Przycupnąć”. Gdzieś to usłyszał i pasowało do jego całego życia. „Przycupnywał” przecież cały czas. Ma wprawę, tylko siły coraz mniej. I chęci.

Lublin, duże miasto. Gdzieś się zahaczy, przeczeka.

Janów Podlaski, maj 1985 rok

– Panie poruczniku – Zarsa odnalazł Liniewskiego w stadninie – dowiedziałem się, że jakiś człowiek wypytywał się o Romana Piotrowskiego. A ten Piotrowski zniknął, tak jak stał. To znaczy przepadł tak jak siedział, w boksie z koniem. Nawet czapki nie zabrał. W jego pokoju, który wynajmuje u miejscowych, też wszystko zostawił.

– Cholera, gdzie ten facet?

– Moi chłopcy go szukają. W barze mlecznym Maryśka, to znaczy szefowa, mówiła, że był taki, zjadł naleśniki i wypytywał o milicję. Czemu się ich tyle tu kręci? To mu powiedziała, cały czas cytując Maryskę, że szukają mordercy takiego Ruskiego, co go w telewizji

pokazywali. Zamordował go taki, co to przy koniach robi, a on przepadł jak kamień w wodę.

– To niech wasi chłopcy szukają obu. I Piotrowskiego, i tego przyjeźdnego. Macie jego rysopis?

– Wysoki blondyn koło czterdziestki. Maryśka mówi, że przystojny.

– Dajcie wreszcie spokój z tą Maryską. Zróbcie portret pamięciowy i roześlijcie po okolicy.

Zarasiowi cisnęło się na usta brzydkie słowo, nie jest przecież podkomendnym tego facia z Warszawki. Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Kobieta w barze powiedziała Janowi wystarczająco dużo, żeby był pewien, że to Wasyl Kawułyca zamordował Abramowa. Była bardzo rozmowna, a wydarzenia ostatnich tygodni były tematem numer jeden wśród miejscowych.

– A ten stary – kontynuowała – to zniknął od razu jak z Warszawy MO przyjechało – w ogóle to on taki jakiś dziwny był zawsze. Taki mały, chudy, siwy, tylko oczy miał czarne jak smoła. Ja to nawet się go bałam. Przychodził czasem na obiad. Nigdy prosto w oczy nie popatrzył. Nigdy się nie odzywał. Podobno tylko do koni gadał.

Mieli z Nikitą dawne porachunki ale jak go teraz odnaleźć? A był już tak blisko. Koniec języka za przewodnika. Stara dobra maksyma. W końcu dowiedział się od milej kasjerki na dworcu PKP.

– Facet, podobny do tego, co pan mówi, kupił bilet do Lublina. Pani w okienku uśmiechnęła się zalotnie do Jana.

Warszawa, maj 1985 rok

Markiewicz przeglądał już, po raz nie wiadomo który, kserokopie dokumentów. Zdobył je drogą półlegalną. Kosztowało go to wiele zachodu. Uruchoił wszystkie swoje znajomości. Wreszcie dotarł do nich poprzez kolegę brata dziewczyny swego kuzyna. Leżały teraz przed nim zeznania świadka w sprawie z 1947 roku. z Sądu w Rzeszowie. Na osobnej kartce drobnym pismem spisana była rozmowa z Ksenią Małyniak, którą przeprowadził w swoim wolnym czasie i bez porozumienia ze zwierzchnikiem. Wczoraj w nocy przepisał na maszynie. Był jeszcze raport z oględzin, kserokopia, bo oryginał leżał na biurku porucznika, i informacja podpisana przez M. Foryt, pracownicę stacji benzynowej w miejscowości na trasie Warszawa–Janów Podlaski.

„– W dniu 28 kwietnia? Pamiętam, to była niedziela, na stację podjechał samochód z przyczepą. Była 5:30, akurat spojrziałam na zegar, bo nie mogłam się doczekać zmiany. To była przyczepa na konia. Na aucie pisało Stadnina koni. Janów Podlaski. Dlatego sko-

jarzyłam, że przyczepa na konia. Patrzyłam przez szybę, jak kierowca tankuje. Pilnowałam, żeby nie zwiął bez zapłacenia rachunku.

– Może pani opisać kierowcę?

– Średniego wzrostu, tęgawy, tak na oko około 30-ki. Przeciętny.

– Jak był ubrany?

– W garniturze. Jakby wracał z pogrzebu albo wesela. W aucie było jeszcze dwóch. Tak mi się wydaje. Zatankowali. Zapłacili i pojechali na Janów.

Rozpoznałaby go pani?

– Czy ja wiem. Było jeszcze szarawo. Ale przyczepę to bym rozpoznała. Miała urwany kawałek plandeki.

– Bardzo pani dziękuje”.

– Panie poruczniku – sierżant Markiewicz z wahaniem wszedł do gabinetu szefa.

– Co jest?

– Bo ja chciałem powiedzieć...

– To mów.

– Jak szukałem informacji o Piotrowskim, co się okazał Kawułyca, to trafiłem na pewną relację. Złożył ją niejaki Marcin Małyniak spod Wrocławia. Zeznawał przed sądem w Rzeszowie w sprawie Pawła Woźnicy, komendanta oddziału UP.

– Do rzeczy!

– I on twierdził, że ten Kawułyca był donosicielem i przez niego zginęło wiele osób. Między innymi jakaś rodzina. Tylko dziecko się uratowało, a on z żoną je adoptowali.

– No i?

– To jest Jan Małyniak. Będzie miał teraz 41 lat i prawdopodobnie szuka zemsty.

– Co to za jeden ten Małyniak?

– Pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego. Od kilku dni nie ma go na uczelni. Nikt nie wie gdzie się podziewa. To już drugi taki jego wybrzyk i grozi mu dyscyplinarka. Sekretarka przefaksowała mi jego zdjęcie. Podał szefowi kartkę. Ten powoli wyciągnął z biurka portret pamięciowy sporządzony według Maryśki z baru mlecznego i porównał.

– Szukamy Jana Małyniaka. Musimy go znaleźć zanim dopadnie Piotrowskiego.

– Tak jest.

Janów Podlaski, maj 1985 rok

Stał oparty o rozkład jazdy pociągów. Pociąg do Lublina miał przyjechać za pół godziny. Lublin. Jak można tam kogokolwiek zna-

leźć? Jeżeli rzeczywiście pojechał do Lublina? Mógł się rozmyślić, mógł wysiąść gdziekolwiek po drodze.

– Pan Jan Małyński?

Popatrzył zaskoczony na funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej.

– Tak. O co chodzi?

– Proszę ze mną. Chcemy zadać panu parę pytań.

– Na jaki temat?

– Na jaki temat? Na przykład gdzie jest Roman Piotrowski?

– Nie znam takiego.

– A Wasyla Kawułyca?

Jan poczuł jak krew mu odpływa z twarzy. Ręce wsunął do kieszeni, żeby milicjant nie zauważył, jak zaczęły mu drżeć.

– Też nie znam.

– Czyżby? – sierżant uśmiechnął się z ironią – to pogadamy na komendzie o tym nieznanym panu człowieku.

Podporucznik Zaraś starał się przybrać bardzo profesjonalną minę.

– Nazwisko.

– Jan Małyński.

– Lat.

– 41.

– Adres.

– Wrocław, ul. Zagrodowa 14/5

– Co pan robił na dworcu kolejowym?

– Czekałem na pociąg.

– Dokąd?

– Do Lublina. Mam bilet.

– Po co przyjechał pan do Janowa?

– Lubię podróżować.

– I ?

– I zwiedzać – w głosie Jana dała się wyczuć nutka kpiny – Stadnina koni znana jest na całym świecie. Warto zobaczyć. Poza tym budynek jest obiektem zabytkowym, nie jestem wprawdzie historykiem sztuki, ale potrafię docenić piękną budowlę. Nie wiem, czy pan się orientuje, ale wybudowano go...

– Wystarczy!

Jan uśmiechnął się niewinnie.

– Jestem historykiem, ale zapewne pan już zdążył zdobyć informacje na mój temat. Historia to mój konik, pasja mówiąc inaczej, więc nie ma się co dziwić, że tu przyjechałem.

Zaraś robił się coraz bardziej czerwony.

– Konik. Pasja. Powiada pan – cedził powoli wyrazy – a Roman

Piotrowski vel Wasyl Kawułyca też znajduje się w kręgu pana zainteresowań?

– Niestety nie znam tego człowieka.

– Przestańmy bawić się w kotka i myszkę. Pan przyjechał, Piotrowski zniknął. Pan go szukał i znalazł. Kierowany zemstą zamordował go pan. Gdzie jest Roman Piotrowski? – wyszczał Zaraś – nie radzę urządzić sobie kpin. Jest pan podejrzany o morderstwo. Zostanie pan zatrzymany do wyjaśnienia sprawy.

Jan nie wierzył własnym uszom. Ironia losu. Jeszcze Wasyla nie dopadł a już jest oskarżony.

– Jestem aresztowany?

– Nie. Powtarzam. Zatrzymany do wyjaśnienia sprawy. I jeszcze jedno. Co pan wie o Nikicie Abramowie?

– Nie znam. Nic nie wiem.

– Wyprowadzić zatrzymanego!

Oparł się o fotel z zadowoleniem. Zawsze marzył, żeby to powiedzieć. Nawet w domu ćwiczył to zdanie.

Zadowolenie jednak szybko minęło. Kto zamordował Abramowa? Oba morderstwa się ze sobą wiążą. Był tego pewien.

Lublin, maj 1985 rok

W tym samym czasie Piotrowski siedział na dworcu w Lublinie i zastanawiał się, co dalej? Nikita nie żyje, ale żyje jego brat i on mu nie odpuści. Będzie go prześladował z podwójną pasją. Za dawne sprawy i za Nikitę. Policja go też szuka. A może by tak wrócić do Wrocławia? Do Wandy? Jak wtedy uciekał, Wanda była w ciąży. Po raz pierwszy pomyślał o dziecku. Dziecko? To już zupełnie dorosły człowiek. A Wanda? Ułożyła sobie jakoś życie? Może czeka na niego do tej pory? Dla niej wtedy był bohaterem z AK. Uwierzyła. Przyjedzie, stanie w drzwiach i co? To ja, po trzydziestu latach. Wróciłem i chcę z tobą zamieszkać. Dlaczego? Bo szukają zemsty. Bo milicja podejrzewa mnie o morderstwo. Bo nie mam się gdzie podziać. Bo... Zakrył twarz w dłoniach. Gdyby umiał płakać. Ale nie umiał.

Warszawa, maj 1985 rok

– Szeffie, mamy Piotrowskiego.

– Piotrowski? Nasz uciekinier? Gdzie się znalazł?

– Sam zgłosił się na posterunek w Lublinie. Już go wiozą.

Do pokoju wszedł mały, chudy człowiek po siedemdziesiątce.

– Proszę siadać – Liniewski ręką wskazał mu krzesło.

Przysłuchiwał się z uwagą przybyłemu. To niemożliwe, żeby ten człowiek dał radę zabić takiego draba, wsadzić go do auta i wy-

wieź trzysta kilometrów – pan Roman Piotrowski – zaczął formalne przesłuchanie.

– Tak, a właściwie nie – zamilkł, a po chwili zmęczonym głosem zaczął cicho mówić tym swoim dziwnym akcentem, którego się nie wyżył przez tyle lat.

– Tak naprawdę nazywam się Wasyl Kawułyecz. To ja jestem powodem śmierci Nikity. Znałem go, to od niego uciekałem, zmieniłem nazwisko, porzuciłem swoją kobietę i dziecko. Dłużej już nie chcę się ukrywać. Jestem mordercą, zdrajcą. Trzeba mnie aresztować.

– W jaki sposób dokonaliście tego morderstwa?

Roman nerwowo potarł policzek.

– No, ja, jakby to powiedzieć. Uderzyłem go w głowę.

– Czym?

– Yyyy, takim drągkiem.

– Ma pan prawo jazdy?

– Nie.

– Ale jeździ pan służbowym samochodem?

– Nie, nigdy! Nawet nie próbowałem.

Porucznik patrzył na niego. To był wrak człowieka. Stary, roztrzęsiony.

– Trzeba mnie aresztować – powtarzał w kółko – przeze mnie straciło życie wielu ludzi. Nikita to morderca, dobrze, że nie żyje. Tak, ja go zabiłem. Trzeba mnie aresztować. Nie chcę już uciekać. Zresztą przed sobą nie można uciec.

Porucznik nie przerywał. Patrzył na człowieka złamanego życiem. Z przeszłością, od której chciał uciec, a jednak go dopadła. Przeszłość. Wojna. Siedzi w nas i czym człowiek starszy, tym te wspomnienia stają się wyraźniejsze. Niechciane wspomnienia uparcie powracają. Nabierają kolorów jakich wcześniej się nie widziało.

Miał wtedy osiemnaście lat. Wpisano go na listę. Nie pomogła interwencja matki i dwa złote pierścionki. Wpakowali do pociągu. Było ich kilku. Jechali pod eskortą znudzonych żołnierzy. Nie potrafił nawet powiedzieć jak długo jechali. Dzień? Dwa? Byli głodni i przerażeni. Na miejscu, w jakimś urzędzie sfotografowali, dali legitymacje i szmatkę z literą P. Nie rozumiał ani słowa. Trafił do bauera. Do dużego gospodarstwa. Został niewolnikiem jak murzyn w Ameryce. Z trudem przyzwyczajał się do pracy na roli. Nie miał z tym wcześniej nic wspólnego. Jedzenia też nie było dużo, ale nikt go nie bił. Raz tylko, jak się postawił, postraszone go „trafisiz do Auschwitz”. Już trochę po niemiecku rozumiał, ale się nie przejął. Wtedy nie wiedział, co to Auschwitz.

Maj. Koniec wojny. Powrót do Polski na piechotę. Głód. Krwawiące nogi. Strach przed żołdatami–wyzwolicielami. Wolność. Ru-

iny Warszawy. Radość odbudowy stolicy. Studia. Tylko rodziców i młodszej siostry już nie było.

– Zna pan Jana Małyniaka?

Przez twarz Wasyla przebiegł skurcz. Był to moment, ale nie uszedł on uwagi porucznika.

– A rodzinę Małyniaków?

– Nie pamiętam.

– Proszę podpisać zeznania.

Podsunał protokół.

– To nie aresztujecie mnie?

– A powinniśmy?

Popatrzył zdziwiony.

– To znaczy mam odejść?

– Tak, Niech pan wraca do Janowa i nigdzie nie ucieka.

Całe życie uciekam, pomyślał, i cichutko zamknął za sobą drzwi.

Liniewski nerwowo stuknął długopisem w blat biurka. Małyniaka trzeba wypuścić. Nic mu nie pasowało. Ten stary kłamie. Dlaczego? Kogo kryje? Cholera, same niewiadome. Czy to naprawdę mąż Wandy? No, nie mąż tylko ojciec jej córki? Rzucił ze złością długopis i wrzasnął.

– Markiewicz, do mnie!

Sierżant Stanisław Markiewicz bał się humorów swego szefa jak ognia. Zerwał się z krzesła, aż z hukiem upadło i wpadł do gabinetu.

– Tak jest!

– Co tak jest? Sprawdźcie, co łączyło Abramowa z Kawułyeczem? Na jutro!

– Tak jest!

Po odejściu sierżanta wybrał numer Wandy, ale w słuchawce odezwał się inny głos.

– Mogę rozmawiać z panią Wandą?

– Mamy nie ma, czy coś powtórzyć?

– Mówi porucznik Liniewski Proszę powiedzieć, że Roman Piotrowski się znalazł. Jest w Janowie Podlaskim, pracuje w stadninie koni.

Cisza jaka zapanowała po drugiej stronie telefonu zaniepokoiła Marka.

– Z jakiegoś powodu ten człowiek interesował panią Wandę – dodał.

Helenka powoli odłożyła słuchawkę.

Ojciec się odnalazł. Więc jednak mama go szukała. Dlaczego nic nie powiedziała? Czemu to ukrywała? Wszyscy się od niej

odwracają. Najpierw Jan. Teraz mama. Poczula się bardzo samotnie, odrzucona przez najbliższych. Wyciągnęła ze stoika dwa kiszone ogórki i włączyła adapter. Ale nawet Niemen jej nie uspokoił. Wręcz odwrotnie. Słowa piosenki „dobranoc powtarzając nie dał bym ci zasnąć” przypomniały niedawną noc z Janem. Była taka szczęśliwa. Płyta się zacięła. Złośliwość rzeczy martwych. Pchnęła lekko palcem igłę. Nie pomogło. Wyłączyła.

Jan, jej pierwsza, jedyna miłość. Człowiek, któremu bezgranicznie ufała. Jak mógł ją tak potraktować? Żeby chociaż powiedział wybac, nie mogę z tobą być, bo... A on nic nie powiedział. Odsunął się. Telefonów nie odbiera.

– Dupek! Historyk!

Była w domu sama, więc mogła sobie pokrzyzczeć.

– Dupek i historyk – powiedziała nieco ciszej, ale wcale nie pomogło.

Gryzła ogórki i patrzyła przez okno na ulicę Wrocławia. Ludzie kręcili się we wszystkie strony. Każdy ma swoje sprawy, swoje życie. A ona czuje się źle. Szczególnie rano.

Telefon dzwonił i dzwonił zanim Helenka podniosła słuchawkę. Nie chciała z nikim rozmawiać, a najbardziej z mamą. Niestety w słuchawce posłyszała jej głos.

– Dzwoniła ciocia Zosia, jutro do niej jadę. Wróć z pracy, to porozmawiamy.

– Dobrze.

Wanda po drodze do domu kupiła czerwone wino i bezy, za którymi Helenka przepadała. Była zdenerwowana, jak córce powiedzieć, że ojciec się znalazł. Jak zareaguje? Czy zechce się z nim spotkać? A jak on zareaguje? Może ma rodzinę, inne dzieci i wcale nie chce nas widzieć? Biła się z myślami.

– Helenko!

Cisza.

Na stole leżała karteczka. *Wyjechałam z przyjaciółmi. Wracam w poniedziałek. Nie martw się. Cauję. H.*

Marcinkiewicz znowu zagłębił się w przeglądanie notatek z procesu kurenego Piotra Woźnicy. Mam! Przecież on ukrywał się u Abramowów. Kawułyca ich w czterdziestym siódmym zademonstrował. Nikita Abramow przepadł, a teraz powrócił. Chciał sprzątnąć Piotrowskiego, to znaczy Kawułyca, ale ten się nie dał i go nabił na widły i wywiózł pod Warszawę. Nie, to nie tak. Nie mógł sam tego dokonać. I ta kobieta ze stacji benzynowej. Musiał mieć wspólników. I był to ktoś ze wsi. Ktoś z wesela.

Janów Podlaski, maj 1985 rok

Roman usiadł w boksie Rozalii. Na dworze szarzało. Nadciągnęły ciemne chmury i w oddali zagrzmiało. Rozalia zarzała zdenerwowana. Burzy zawsze się bała, a od kiedy miała żrebaka stała się jeszcze bardziej nerwowa. Nagły błysk rozświetlił stajnię. Zarzała i stanęła dęba.

– Spokojnie – Roman mówił łagodnie, chciał uspokoić klacz. Poklepał po szyi – spokojnie, jesteś bezpieczna.

Koń na chwilę się uspokoił. Deszcz miarowo uderzał w dach.

Nie zauważył, kiedy do stajni weszła młoda kobieta. Rozejrzała się niepewnie, piorun oświetlił wnętrze i wtedy zauważyła mężczyznę. Zbliżyła się do boksu.

– Pan jest Roman Piotrowski?

– Tak – spojrzał na nią ze zdziwieniem, że o tej porze, w taki deszcz ktoś go szuka.

– I ty jesteś Wasyl Kawułyca?

Czuła jak krew jej odpływa, a przed oczami jakieś dziwne plamy. Cała sytuacja wydała się nierealna. Burza, rzenie koni i odnaleziony po tylu latach ojciec. Chciała mu spojrzeć w oczy i wykrzyknąć całą nienawiść jaką do niego czuła. Za to, że je zostawił, za to, że okazał się donosicielem i mordercą. Za to, że musi się wstydzić takiego ojca. I wreszcie za to, że Jan ją porzucił. Weszła do boksu.

– Tak, ja Wasyl.

– Ty jesteś Wasyl – powtórzyła – to ty jesteś moim ojcem...

– Moja córka?

Stanął zapominając o koniu, o burzy. Było zbyt szaro by mógł dokładnie zobaczyć twarz dziewczyny. Widział tylko jej drobną postać.

– Maja donka.

Dziewczyna poczuła jak złość dodaje jej sił.

– Przez ciebie zginęli niewinni ludzie! Jesteś mordercą! Dlaczego!? Podeszła bliżej, chciała spojrzeć mu w oczy i usłyszeć jakieś wytłumaczenie. Może zaprzeczenie, że to nie on, że to wszystko pomyłka, a jej ojciec jest niewinny.

Nie usłyszała odpowiedzi. Piorun jednocześnie z grzmotem uderzył tuż obok stajni. Rozalia zarzała z przerażenia i stanęła dęba. W ułamku sekundy Roman zorientował się, jakie zagrożenie stanowi to dla tej dziewczyny, dla jego córki. Za późno było by się cofnąć czy uspokoić konia. Pchnął Helenkę i sobą zasłonił. Oboje upadli. Helenka uderzyła o coś głową i straciła przytomność. Obudził ją powiew zimnego powietrza i czyjeś głosy. Ludzi było coraz więcej. Migało też światło karetki pogotowia.

– Ma pani szczęście, to tylko niegroźne stłuczenie ale trzeba zrobić prześwietlenie głowy – mężczyzna w białym kitlu uśmiech-

nał się przyjaźnie – po co pani wchodziła do koni?

Nie odpowiedziała, pomału zaczęła sobie przypominać całe zajście.

– A co z moim ojcem?

– Ojcem? – lekarz wyraźnie się zawahał – pani ojciec uratował panią. Zasłonił przed uderzeniem kopyt.

– I co z nim?

– Uderzenie było bardzo silne. Niestety, przykro mi, ojciec pani nie żyje.

Na pogotowiu ratunkowym było duszno i tłoczno. Helenka wyszła do holu i zastanawiała się, co dalej. Okazało się po prześwietleniu, że to było tylko niegroźne stłuczenie i spokojnie może wracać do domu. Do domu?

– Pani Helena Zbiliska?

Podeszło do niej dwóch milicjantów.

– Porucznik Marek Liniewski i sierżant Markiewicz. Czy możemy porozmawiać?

Patrzyła na nich bez słowa.

– Może przejdziemy do baru, tam będzie spokojniej – zaproponował milicjant.

Przy wejściu zrobiło się jakieś zamieszanie. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła mamę z ciocią. O widzę, że i pani mama już jest.

Usiedli przy małym okrągłym stoliku. Sierżant przyniósł kawę z automatu z trudem radząc sobie z czterema kubkami i taktownie wyszedł z baru. To była rodzinna rozmowa. No, prawie rodzinna.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że tu jedziesz? Skąd w ogóle wiedziałaś?

Wanda była zdenerwowana. Po telefonie od Zosi od razu pojechała do Warszawy. Tam dowiedziały się, że porucznik Liniewski pojechał do Janowa i o wypadku Helenki.

– Ode mnie – Marek popatrzył na Wandę ze skrucą – ja telefonowałem, ciebie nie było. Nie wiedziałem, że to tajemnica.

– Tak. Tajemnica! – Helenka czuła jak wzbiera w niej złość. – Tajemnica! Własna matka mi nie powiedziała, że szuka ojca. I ojciec się znalazł. Ojciec donosił i morderca!

Podniosła głos, a w oczach pojawiły się łzy.

– Co ty mówisz?

Wanda z przerażeniem patrzyła na córkę.

– Morderca?

– A tak. Morderca!

Oparła się o stół i zakryła twarz dłońmi.

– Morderca? O co chodzi?

Porucznik odchrząknął.

– Bo widzisz – zaczął cicho mówić – Roman Piotrowski, jak sam się przyznał, to naprawdę Wasyl Kawułyucz. Z informacji, które udało się nam zebrać, to członek organizacji UPA działającej m.in. w Bieszczadach. Ma, miał – poprawił się porucznik – wiele na sumieniu.

Nikt nie zauważył stojącego w drzwiach i przysłuchującego się rozmowie mężczyzny.

Helenka nie słuchała, ani nie patrzyła na nikogo. Nagle poczuła na ramieniu czyjąś rękę. Podniosła głowę. Jan stał obok.

Wyszli przed szpital. Porucznik podsunął sierżantowi paczkę papierosów. Palili w milczeniu. Wreszcie Liniewski się odezwał.

– Roman Piotrowski vel Wasyl Kawułyucz nie żyje. Jego sprawa zamknięta. Morderca ruskiego nie znaleziony. Cholera!

– Szefie, a może jeszcze raz wziąć pod lupę tych z wesela? Przecież ten od koni widział kogoś w garniturze. I ta babka na stacji benzynowej. Przepytać jeszcze raz. Porozmawiać z młodymi, z ich rodzicami?

– Miałem nadzieję, że kolegów tu jeszcze spotkam – sierżant z miejscowej komendy westchnął z ulgą – przysyła mnie komendant. Siedzi u niego taka baba, źłocie herbatę i psioczy na organy ściągania.

Popatrzyli na milicjanta zaskoczeni.

– Chce rozmawiać tylko z tym grubym z Warszawy – zreflektował się za późno i aż poczerwieniał – przepraszam, to był cytat.

Liniewski udał, że go to nie dotknęło.

– No to idziemy.

Przy biurku komendanta siedziała kobieta mała, pomarszczona i głośno siorbała herbatę.

– No nareszcie! Już piję trzecią herbatę, a jest obrzydliwa. Nawet cytryny nie mają. Albo mleka. Z mlekiem też dobra. A o weselu to ze mną nikt nie rozmawiał. Bo co? Bo stara to nic nie wie? Nic nie widzi? A stara widzi dużo. Wszyscy wypici, to nie pamiętają co było, a ja tylko kieliszeczek, no może dwa.

– Jak pani godność?

Policjant wyciągnął notes i długopis.

– Że co? Niby jak się nazywam? Wszystkie mnie tu znają. Jestem Michalina Zaworowa.

Miejscowy milicjant dodał.

– Cioteczna babka pana młodego.

– No właśnie. Mówiłam, żeby się z nią nie żenił. To pijaki same. Jej brat i jego kumple się spili i poszli gdzieś w cholere, tak trochę

po północy. Ja poszłam zaraz potem, bo mi w krzyżach „szczyka” i wysiedzieć już nie mogłam, ale Smrekowa mówiła, że pijaki wrócili nad ranem.

Zaraś z ulgą przyjął do wiadomości, że Liniewski wyjeżdża i dał mu wolną rękę. Ba! Prosił go nawet o pomoc. No to do roboty!

– Słuchaj no – Zaraś znał Eugeniusza Myrdood dziecka. Tak po sąsiedzku – z kim to wychodziłeś po północy?

– Ja? Z nikim. W ogóle nie wychodziłem.

– A twoi kumple? Jarek i Benek mówią co innego – zablefował. Chłopak popatrzył na Zarasia z niechęcią.

– Wypiłem za dużo, to i może i wyszłem się przewietrzyć.

– A kumple?

– To ich trzeba spytać.

– Spytam. A ty czemu się tak denerwujesz? Jak tam Ewka? Nadal chodzicie razem?

– No.

– Nie odpowiada się no, tylko, tak panie komendancie.

– No, panie komendancie.

– Podpisz.

– Ewa Jagoda, lat 22. Zamieszkała we wsi Wygoda?

– Tak.

– Co robiłaś 28 kwietnia?

– Przecież wiesz doskonale – popatrzyła na milicjanta zaskoczona.

– To jest przesłuchanie i zwracaj się do mnie panie komendancie.

– Jak chcesz.

– To co robiłaś...

– Zwracaj się do mnie pani Jagoda.

Zaraś zagryzł wargi.

– Co pani Jagoda robiła 27 na 28 kwietnia bieżącego roku?

– Byłam na weselu. Siostra mojego chłopaka wychodziła za mąż.

– A twój, przepraszam, pani chłopak był z panią?

– Tak.

– Cały czas?

– Nie. Wyszedł ze swoimi kumplami. Spili się, to i pewnie gdzieś pod płotem posnęli.

– Nie szukała ich pani?

– Nie. Pokłóciliśmy się już na początku wesela. Wolał towarzy-

stwo Benka i Jarka niż moje. Ani kawałka ze mną nie przetańczył.

– Kiedy wrócili?

– Tego nie wiem. Wyszłam koło północy. Byłam wściekła na niego.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę – prychnęła.

– Anna Wałas, lat 21.

– Była pani na weselu Marcina Białaka i Agnieszki Myrdo 27 na 28 kwietnia?

– Tak.

– Sama pani poszła na to wesele?

– Nie, ze swoim chłopakiem.

– Nazwisko.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste kto jest jej chłopakiem.

– Z Jarkiem Badurą.

– Cały czas byliście razem?

– Nie.

– Jarek wyszedł ze swymi kolegami.

– To znaczy z kim?

– Z bratem panny młodej Gienkiem i Benkiem Żmijką.

– I kiedy wrócili?

– Tego nie wiem. Posiedziałam sama, jak ta głupia, jeszcze trochę i poszłam.

– Nie szukałaś go?

– A po co? Spili się, to mówiłyśmy z Ewką, że pewnie posnęli gdzieś pod płotem.

– Kiedy się z nim zobaczyłaś?

– Zadzwoił pierwszego maja i powiedział, że jest chory. Spoktaliśmy się dopiero trzeciego, w kościele.

– Mówił, gdzie był?

– Nie pytałam. Pokłóciliśmy się o to wesele i zerwaliśmy.

Wydeła z pogardą usta.

– Wszyscy mi mówią, że zasługuję na kogoś lepszego.

Jarosław Badura, lat 24?

– Tak, byłem na weselu. Siostra mojego kumpla się hajtnęła.

– Wiemy, że opuścił pan zabawę razem z kolegami około północy, dokąd poszliście?

Twarz zatrzymanego wyrażała zaskoczenie pomieszane ze strachem.

– Wyszliśmy się przejść. W sali było duszno, a my trochę wypili.

- I gdzie poszliście.
- Nigdzie. Tak pokręcili my sie i wrócili na sale.
- To wszystko?
- Wszystko.
- Starał się nadać swemu głosowi ton obojętny.
- A brat panny młodej też z wami wrócił.
- Taaa.

- No i co Gienek? Znowu się spotykamy.
- Mówiłem już, że byłem na weselu. Cały czas. Mam na to świadków.
- I nie opuszczałeś wesela?
- Ani na chwilę.
- Mam inne informacje.
- Ciekawe od kogo?
- To ja zadaję pytania.
- To ten ktoś łże jak pies. Byłem cały czas. Poczzerwieniał i podniósł głos.
- To zgodzisz się na wzięcie udziału w okazaniu?
- Porucznik uśmiechnął się ironicznie.
- Co to znaczy?
- To znaczy, że staniesz z kilkoma innymi osobami, a ktoś na was popatrzy.
- Kto?
- Tego nie musicie wiedzieć.

Warszawa, maj 1985 rok

Leżała z otwartymi oczami. Dochodziła północ ale nie mogła zasnąć. Przez uchylone okno dochodził szum miasta. Warszawa żyła swoim życiem. Jej córeczka, jej Helenka miała wypadek, a ona dowiedziała się dopiero dzisiaj. Rano poszły z Zosią na komendę.

– Porucznik Liniewski pojechał do Janowa – jakiś młody policjant w stopniu plutonowego wytarł zakatarzony nos – przepraszam, mam grypę – wytarł chusteczką pot z czoła i tłumaczył się ochrypłym głosem – to panie nie wiedzą? Ten Piotrowski się znalazł i okazało się, że to nie Piotrowski.

Plutonowego złapał atak kaszlu.

– Porucznik dzwonił i – zawahał się – pani Helena Zbiliska miała wypadek, ale nic się nie stało – dodał szybko widząc przerażoną minę Wandy.

Jak dobrze mieć przyjaciół, myślała Wanda. Zosia z mężem nie zastanawiali się ani chwili. Wsiadli do malucha i po trzech

godzinach byli w Janowie. Na komendzie dowiedzieli się, że porucznik z Warszawy pojechał na pogotowie. Trafili bez problemu. Już od drzwi zobaczyli Helenkę z porucznikiem.

– Idźcie same – mąż Zosi nie chciał robić tłoku – poczekam w aucie.

Teraz Wanda leżała w małym pokoiku warszawskiego mieszkania przyjaciół. Leżała a przed oczami przesuwały się obrazy wspomnień.

Bojący się wszystkiego Roman.

Samotność.

Dziecko bez ojca.

Ciężkie czasy.

Co Roman miał wspólnego z Janem?

W końcu zasnęła.

Rozpędzony tabun koni a nad nim twarz Romana–Wasyła histerycznie się śmiejąca.

Jan Zajdel wszedł do małego pokoiku. Przez szybę widział kilku mężczyzn w białych koszulach i czarnych spodniach.

– Oni pana nie widzą.

– Mogą widzieć, ja się tam nie boję. Jeśli jest ten morderca, to mogę mu spojrzeć prosto w twarz.

Stał w lekkim rozkroku, ręce założył na piersi i uważnie zaczął się przyglądać.

– Chyba numer 3. Ale... Mogą stanąć bokiem?

Porucznik nachylił się do mikrofonu – proszę się powoli obrócić bokiem do nas.

– Tak. Numer 3 na 99%.

– Dziękuję panom – powiedział do mikrofonu, a do Zajdla – proszę ze mną. Podpisze pan protokół.

Wiś Wygoda, kwiecień 1985 rok

W restauracji Zagłoba odbywało się huczne wesele. Sproszona była prawie cała wiś. Ojciec panny młodej nie żałował wódki. Ostatecznie wydaje swoją jedyną córkę i to nie za byle kogo. Za syna sołtysa. Brat panny młodej był duszą towarzystwa. Zabawiał wszystkich, ze wszystkimi musiał się napić. Było już dobrze po północy jak poczuł, że koniecznie musi się przewietrzyć. Zawołał swoich dwóch najlepszych kumpli, wzięli flaszkę i wyszli.

– Idziemy na spacer, o tam! – Machnął ręką w bliżej nie określonym kierunku. Koledzy posłusznie kiwnęli głowami i zataczając się ruszyli przed siebie. Droga prowadziła w stronę stadniny.

– Koniki tu są, pojeździmy – ucieszył się brat panny młodej, który pracował przy koniach w Janowie.

Nikitę zauważyli dopiero jak wpadli na niego.

– O, kolega – ucieszyli się z niespodziewanego spotkania – napij się z nami.

Zataczając się podeszli do Nikity.

– Wypij za zdrowie pary młodej!

– Nie chaczu.

– Patrzcie ruski! Nie chce się z nami napić.

– Ważny taki! – Dodał kumpel.

– Swołocz! – Skomentował trzeci pijak.

– Otoczyli Nikitę i koniecznie chcieli go siłą napoić.

– Ja skazał, nie chaczu! – Powiedział już ze złością i cofnął się pod budynek.

– Słyszeliście? On nie chaczu za zdrowie mojej siostrzyczki!

Mężczyzna oparł się o ścianę. Za plecami coś poczuł. Widły. Chciał nimi odstraszyć pijanych intruzów.

– Ty do nas z widłami?!

Zaczęli się szarpać. Wyrwali mu widły. Któryś go popchnął. Nikita się poślizgnął, całym swoim prawie stukilowym ciałem zwałił się na trzymane przez brata panny młodej widły i razem z nim upadł na ziemię. Posłyszeli cichy jęk i zapadła cisza. Pijany z trudem uwolnił się od przytłaczającego go ogromnego mężczyzny. Powoli zaczęło do nich docierać, co się stało.

– Kurwa, on nie żyje.

Stali nad Nikitą nie wiedząc co dalej.

– Trzeba go stąd zabrać. Schować.

Oprzytomnieli szybko. Na placu stał samochód dostawczy z przyczepą. Kluczyki były w stacyjce. Z trudem wciągnęli nieboszczyka do przyczepy i ruszyli przed siebie.

Łopienka, 15.10.2017 (niedziela)

Ksenia Wanda Małyniak z trudem znalazła miejsce na parkingu.

– Nareszcie – westchnęła z zadowoleniem. Wysiadła z samochodu i przeciągnęła się rozprostowując kości. Z torebki wyciągnęła komórkę.

– Zrobię trochę zdjęć. Do Łopienki mamy 2,5 km. Macie siły iść?

– Nie rób z nas takich staruszków – uśmiechnęła się Helenka wysiadając.

– Oczywiście, przejdziemy – ale Jan robił wrażenie jakby nie miał chęci w ogóle wysiadać.

Ruszyli drogą rozjeżdżoną przez samochody. Dzień był piękny jak na tę porę roku. Słońce świeciło i wydobywało kolory jesieni: złoto, czerwień, gdzie nie gdzie zieleń drzew iglastych.

– Jak tu pięknie – zachwycała się Ksenia, a Helenka przypominała sobie, że chciała to piękno namalować.

Jan siedł w milczeniu. To była ta sama droga, co przed przeszło trzydziestu laty. Od tamtej pory tu nie był. To Ksenia zmusiła ich, no powiedzmy nakłoniła, żeby tu przyjechać.

– To przecież kawał historii – powiedziała zupełnie tak samo jak trzydzieści lat temu Helenka – naszej rodzinnej historii – dodała ciszej i jakby niepewnie.

Droga niby taka sama, a jednak... Jan patrzył na samochody jadące w stronę cerkwi. Na grupki ludzi idących z plecakami, śmiejących się. Szczęśliwych. Wtedy nie było tu nikogo oprócz smolarzy.

Zatrzymali się przy retortach. Smolarzy nie było – niedziela – pomyślał. Piece załadowane drewnem czekały na podpalenie. To od smolarza dowiedział się, że Łopienki już nie ma.

Mijani ludzie uśmiechali się do nich, kłaniali, jak to w górach.

Zaskoczyła go drewniana wiata i płonące przed nią ognisko. Jakaś gruba kobieta karciała niesfornego dzieciaka a dwóch mężczyzn, zapewne jej mąż i starszy syn, opiekowało kielbaski na ognisku.

Cerkiew pobielona, zrekonstruowana, oblegana była przez turystów. Dzieci krzyczały, biegały psy i tu było miejsce na ognisko. Nie, tego się Jan nie spodziewał. Chciał jeszcze raz, może ostatni, zobaczyć góry, łąki, gdzie kiedyś były pola uprawne, sady. Pragnął ciszy. Nowy dach błyszczał z daleka, a obok odbudowana kaplica grobowa.

W cerkwi nie było nikogo. Chłód rzecznych kamieni, z których zbudowana była ta maleńka świątynia, stwarzał nastrój powagi i nostalgii. Jan ukląkł i wpatrywał się w obraz. Jadąc tu pierwszy raz matka powiedziała „może znajdziesz groby rodziców?” Nie znalazł. Na cmentarzu, do którego wiodła kręta górską ścieżka, rosły tylko drzewa. Opadłe liście szeleściły pod nogami i jedynie maleńki kamienny grobowiec z krzyżem świadczył o tym miejscu.

Ciekawe, kto z tych turystów zna prawdziwą historię. Nie tylko tą, którą można było przeczytać w Internecie. Ale historię poszczególnych żyjących tu kiedyś ludzi.

EPILOG

Zafascynowała mnie historia Łopienki, małej wioski, która w 1939 roku liczyła 53 domy i zaledwie 331 mieszkańców. Wioska, która już nie istnieje. Jej historię starałam się ukazać na przykładzie fikcyjnych bohaterów. Ich losy wplotłam w autentyczne wydarzenia i daty.

Kurenni Rizun, Paweł Woźnica, działał naprawdę w okolicach Łopienki. Został aresztowany i skazany na karę śmierci przez Sąd w Rzeszowie.

Unicy duchowni naprawdę zaczęli do mordowania Polaków, twierdząc, że zabić Polaka to nie grzech. Naprawdę płonęły wsie podpalane przez członków UPA.

Wasył Kawułyca jest postacią fikcyjną, ale przecież takich donosicieli było wielu. Taki Wasył mógł żyć naprawdę i przez zazdrość przyczynić się do śmierci sąsiadów. A wyrzuty sumienia? Mogły naprawdę dręczyć takich Wasylów.

Okres II wojny światowej to jednak nie tylko mała bojkowska wioska. Tragiczne historie były udziałem wszystkich mieszkańców ówczesnej Polski. Opisałam więc historię Wandy ze Stanisławowa, której ojca aresztowało NKWD i zginął, prawdopodobnie, w Katyniu. Matka zmarła w drodze na Sybir, a Wanda, jak wiele osieroconych dzieci wędrowała z wojskiem Andersa. Spotkała Ordonkę (Hanka Ordonówna – aktorka, znana z przedwojennych szlagierów) i przyjaciółkę na całe życie, Zosię.

Sąsiad Wandy – były więzień Auschwitz do obozu trafił jako dziecko z Powstania Warszawskiego. Jego obozowy przyjaciel i opiekun Wania, żołnierz Armii Czerwonej, w obozie był jako jeńiec wojenny. Po wyzwoleniu skierowano go do sowieckiego łagru i słuch po nim zaginął.

Jest jeszcze profesor z Uniwersytetu Wrocławskiego, który studiował we Lwowie. Jego cała rodzina została wymordowana na Wołyniu przez OUN-UPA. I porucznik Liniewski wywieziony do Niemiec na roboty przymusowe. Pokolenie, które przeżyło wojnę nie może się wyzwolić od wspomnień, które rzutują na całe dalsze ich życie. Bo przed sobą i swoimi wspomnieniami nie można uciec.



Jadwiga Buczak urodziła się w Oświęcimiu. Od trzech lat mieszka w Rzeszowie. Absolwentka Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach na kierunku Bibliotekoznawstwo i Informacja Naukowa oraz studiów podyplomowych z zakresu Muzealnictwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktorat obroniła na Akademii Pedagogicznej w Krakowie, wydział humanistyczny.

Przez wiele lat prowadziła bibliotekę w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu i oprowadzała grupy zwiedzających. Opracowała „Bibliografię KL Auschwitz za lata 1981-2006” i napisała kilka artykułów związanych z pracą zawodową m.in.: „Z Rzeszowa do Auschwitz”, „Digita-

lizacja zbiorów bibliotek muzealnych”, „Auschwitz wpisany w życiorys - Zofia Kossak”, „Marsz Żywych – między historią a polityką”.

Autorka dwóch tomików poezji: „Słowa nieuśmiechnięte” i „Jesienne kwiaty”. Opublikowała opowiadania „Kradzież Mony Lisy” w wydaniu zbiorowym „Lukrecja z kamiennej grobli”, „Cudowne święta” w czasopiśmie „Własnym Głosem” oraz „Od pożogi do otchłani” w kwartalniku „Wołyn i Polesie”.

Oprócz pasji literackiej ma również inną – malarstwo, w którym realizuje się malując obrazy i prezentując swoje prace na licznych wystawach zbiorowych i indywidualnych.

BIBLIOGRAFIA

Bata, Artur: Bieszczady. Szlakiem walk z bandami UPA .- Rzeszów 1984

Bata, Artur: Bieszczady w ogniu .- Rzeszów 1987

Hort, Weronika: Tułacze dzieci, 2005

Jastrzębski, Janusz Maciej: Strzelał każdy dom i każde drzewo .- Rzeszów 1986

Karczmarzewski, Andrzej: Świat Bojków. Etnograficzna podróż po Bojkowszczyźnie. – Rzeszów 2014

Koprowski, Marek A.: Akcja „Wisła”. Krwawa wojna z OUN-UPA .- 2016

Łysakowski, Jan: Gorące wzgórze .- Rzeszów 1984

Misiło, Eugeniusz: Akcja „Wisła”, 1993

Mołodyński, Witold: Bieszczadzkie okupacje 1939-45 .- Rzeszów 2016

Motyka, Grzegorz: Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła” 2011

Motyka, Grzegorz: W kręgu „Łun w Bieszczadach” .- 2009

Potocki, Andrzej: Przystanek Bieszczady bez cenzury .- Rzeszów 2011

Potocki, Andrzej: Zaginiony świat bieszczadzkiego kresu. Bojkowie, Żydzi, Polacy, Niemcy i Cyganie, Wyd. 2 .- Rzeszów 2014

Studia Rzeszowskie, T.1 .- Rzeszów 1995

Ziółkowska-Modła, Halina: 11 lipca Dzień Pamięci Kresowian/ W: Wołyń i Polesie, R.XXI, listopad 2014, nr 4 (85)

Zurek, Stanisław: UPA w Bieszczadach .- Wrocław 2010

